WIDNOKRĄG

TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 46 (319)
12 listopada 1967 r.

Jan Grygiel

POWIAT W LESSOWYCH PYŁACH

Wracaliśmy z bogatego programu imprez Dni Lubaczowa. Po wielu wrażeniach, rozmowach, spotkaniach, w których coraz wyraziściej rysowało się oblicze dnia dzisiejszego tej ziemi, w spokojnym szumie samochodu podeszły ku nam refleksje. Wpatrywaliśmy się w ścianę lasów wzdłuż szosy i snuliśmy rozważania o przeszłości i teraźniejszości regionu.

Człowieka skłonnego do ulegania nastrojom uderza melancholia bijąca z tego krajobrazu. Monotonna, rozległa równina przecinana czasem leniwymi rzeczkami, i obrzeżona ciemnoniebieskimi grzebieniami lasów na horyzoncie ciągnie się od Sanu aż po Lubaczów. Czasem tylko błyśnie lustro mokradła lub zalewiska, albo zaświeci w słońcu kopuła cerkwi wśród drzew i znów jedzie się wśród lessowych pyłów unoszonych przez wiatr. Wygląda to, jakby dymiła olbrzymia kadzielnica lub, i to skojarzenie na ziemi lubaczowskiej jest bardziej uzasadnione, jakby ten kraj dogasał po wielkich pożarach. Nawet przyćmione przez obłoki pyłu słońce ma wtedy blask rudawy i przygaszony. Istotnie, pożary w dziejach tego zakątka kraju były zjawiskiem codziennym. Historia ze szczególną wyrazistością ukazywała tu swoje złowrogie oblicze i swoje ślepe okrucieństwo. Kiedyś tu nad Tanwią, Sołotwą i Szkłem rozwijały się bogate miasta i osady, wykwitały pańskie rezydencje, tętniły życiem tartaki, gorzelnie, huty szkła, huty żelaza i papiernie. Prawami miejskimi i sławnymi jarmarkami szczyciły się Oleszyce, Cieszanów, Narol, Płazów, Lipsko, Wielkie Oczy i Dzików. Dziś spadły do roli wsi, opustoszały i spokorniały.

Nie było stulecia, by ktoś nie przeorywał tej ziemi ogniem i żelazem. W XVII w. Lubaczów spalili Kozacy i Szwedzi, Cieszanów płonął dwukrotnie — przy końcu XIX wieku i w czasie II wojny światowej (w 90 proc.), Płazów zniszczyły napady tatarskie i szwedzkie — miasteczko Narol spalone w 1939 r. powstało na gruzach innego miasta Florianowa doszczętnie zniszczonego przez Tatarów i Kozaków w 1648 r. Każdy gmach zabytkowy był w tym regionie kilkakrotnie palony i odbudowywany. Pierwsza i druga wojna światowa przetoczyły się przez powiat lubaczowski jak miażdżący walec, a długotrwałe walki z bandami UPA dopełniły dzieła zniszczenia. Czy taki bieg dziejów nie może skłaniać do melancholii nawet ludzi nie zwykłych ulegać nastrojom?

* * *

Wyludniona po wojnie ziemia lubaczowska nie awansowała do rangi rejonu przemysłowego. Brakło więc warunków do gwałtownych i szybkich przemian ekonomicznych, które nastąpiły w innych częściach kraju. Wielkie złoża gazu ziemnego eksploatowane od roku 1958 także, jak dotąd, nie przyczyniły się do większej industrializacji powiatu. Nie ominęły wprawdzie Lubaczowa duże inwestycje ze środków państwowych, lecz trudno dostrzec ich skutki gospodarcze na pierwszy rzut oka, gdyż inwestowano w PGR-y, w bazę rolniczą powiatu. Trzeba dość długo czekać na to, by pieniądze rzucone w ziemię dały owoce. Trudno liczyć na cud gospodarczy — trzeba powoli, uparcie i systematycznie szukać środków na budowę dróg, urządzeń komunalnych, na podźwignięcie z upadku dawnych miast a dzisiejszych wiosek, czy wreszcie na rozwój sieci usług kulturalnych tak niezbędnie w tych nieco pionierskich warunkach życia w powiecie — potrzebnej.

Tak właśnie czynią mieszkańcy Narola i Oleszyc, Wielkich Oczu, Dachnowa i Lubaczowa. Z ogromną ambicją, ofiarnością i uporem walczą o rozwój gospodarczy i kulturalny powiatu. Działają między innymi za pomocą czynów społecznych. Np. wszystkie placówki kulturalne w powiecie łącznie z Powiatowym Domem Kultury powstały w wyniku ofiarności i wysiłku społeczeństwa. Obecnie, także w czynie społecznym buduje się 7 obiektów kulturalnych. To duży wysiłek jak na 53 tys. ludzi, bo tyle tylko mieszkańców liczy powiat lubaczowski. A potrzeby są nadal ogromne. Na 81 wsi jeszcze 28 nie posiada żadnego ośrodka pracy kulturalno-oświatowej. Na 3 209 miejsc widowiskowych w powiecie tylko 735 po adaptacji można będzie nadal wykorzystywać. Reszta ze względu na zły stan techniczny lokali widowiskowych musi ulec likwidacji. Sam Lubaczów odczuwa dotkliwie brak budynku dla Powiatowej i Miejskiej Biblioteki, ma wielkie kłopoty z lokalem dla muzeum regionalnego, szuka, jak dotąd bezskutecznie, miejsca na klub dla organizacji młodzieżowych, gdyż młodzież w mieście nie ma własnego kąta. Wręcz katastrofalne warunki ma młodzież szkolna w internatach w Lubaczowie, stłoczona do granic możliwości w pokojach. Młodzież dojeżdżająca do szkół tuła się zimą po mieście, gdyż brak dla niej świetlicy. Dotkliwie daje się we znaki głód mieszkaniowy w Lubaczowie. O tym wszystkim ze zgryzotą i troską mówią miejscowi działacze i sekretarz KP tow. Mieczysław Oś. Martwi ich brak środków i materiałów budowlanych żółwi postęp prac przy odbudowie teatru w Horyńcu, zabytkowego dworu w Wielkich Oczach, niszczejący pałac w Narolu... Niepokoi ich ciągle jeszcze nie wykorzystana szansa Horyńca jako uzdrowiska i miejscowości wypoczynkowej. Nadal nie ma kto tam inwestować, nie ma kto wziąć zdroju pod opiekę z prawdziwego zdarzenia i doprowadzić do pełnego rozwoju.

W powiecie działa wprawdzie 17 świetlic rad narodowych, 18 świetlic PGR, 24 kluby prasy i książki i Młodego Rolnika oraz 17 bibliotek gromadzkich, ale ich stan często budzi niepokój. Sporo tych placówek mieści się w odrapanych, ciemnych salkach, udekorowanych żałosnymi bibułkowymi wstążeczkami. Połamane krzesła, brudne podłogi, porozbijane żarówki i błoto po kostki za progiem nie zapewniają ludziom naprawdę kulturalnego odpoczynku po pracy. Tak zresztą dzieje się nie tylko w Lubaczowskiem. I tu często nie pieniądze są potrzebne, ale trochę gospodarności, większej troski o klub czy świetlicę, sprężystej i energicznej nad placówką opieki jednego — a nie wielu gospodarzy.

Z tych na pozór drobnych spraw układa się mozaika trosk, potrzeb i zmartwień lokalnych patriotów lubaczowskich.

* * *

Ten lokalny patriotyzm stanowi tu zasadniczą dźwignię przemian kulturalnych i aktywności kulturalnej w powiecie. Ci ludzie melancholii nie ulegają. Lubaczów odznacza się wyjątkową ruchliwością działaczy kulturalnych. Mało które z dużych miast powiatowych może pozwolić sobie na tak bogaty program imprez oświatowych, kulturalnych i artystycznych jak Lubaczów w obchodzonych co roku „Dniach Lubaczowa". Mało gdzie wiedza o przeszłości swojej ziemi jest tak gruntowna jak u przeciętnego mieszkańca wsi i miasteczek tego powiatu. Na spotkaniach z dziennikarzami w Oleszycach, Wielkich Oczach, Dachnowie i

(Ciąg dalszy na stronie 2)

Górnicy i hutnicy na cześć Października

Bogaty i różnorodny program imprez z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej przygotowało 230 górniczych i 64 hutnicze placówki kulturalno-oświatowe w całym kraju.

Ok. 32 tys. członków górniczych zespołów artystycznych organizuje konkursy piosenki radzieckiej oraz na najlepszą recytację utworów poetów Kraju Rad. Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca Zw. Zaw. Górników z Siemianowic włączył do swojego repertuaru liczne pieśni rewolucyjne polskie i radzieckie. Wiele utworów kompozytorów ZSRR ma w swoim programie jedyna w kraju filharmonia górnicza w Zabrzu. Interesujące widowiska o tematyce rewolucyjnej opracowali artyści - amatorzy zakładowych domów kultury kop. „Wałbrzych", „Brzeszcze", „Knurów", „Bielszowice", Rybnickiej Fabryki Maszyn Górniczych i kop. ropy naftowej „Krosno".

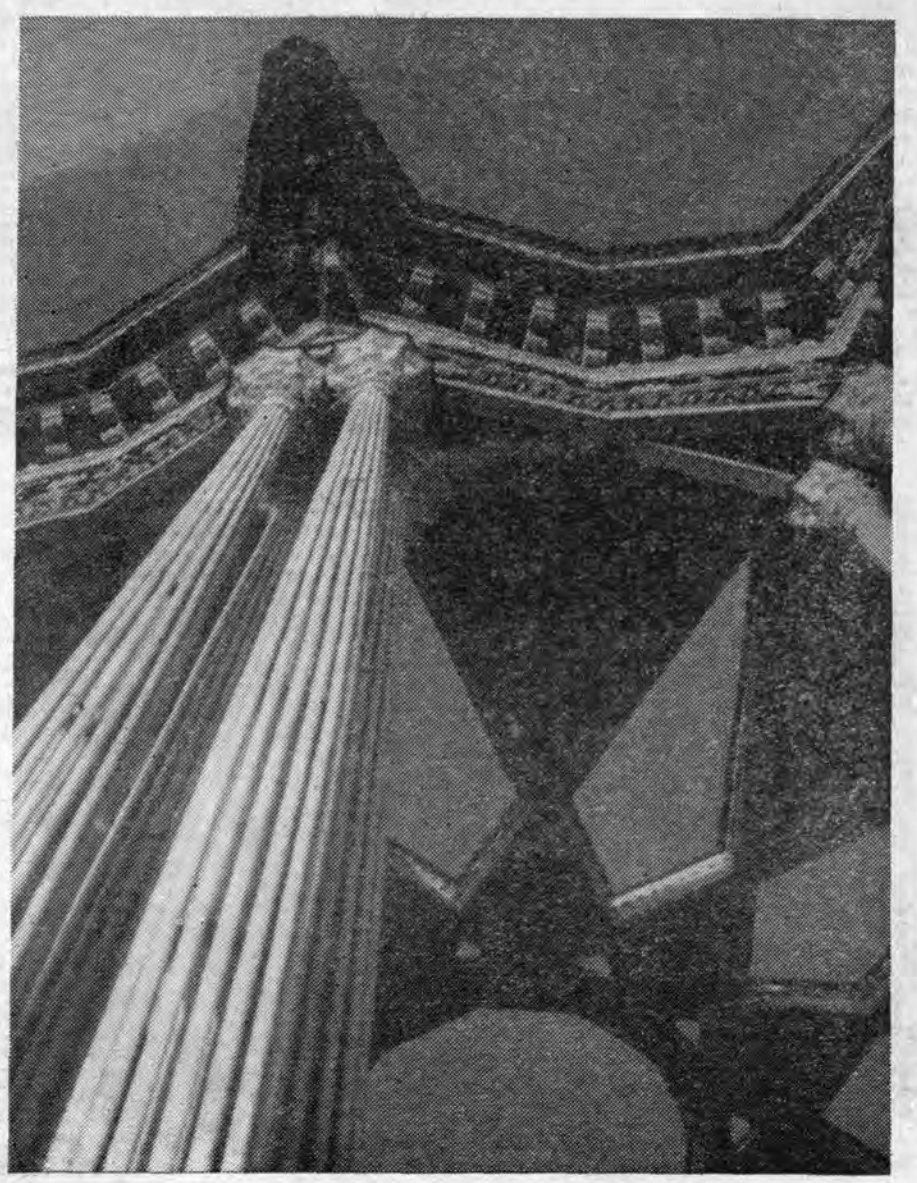

„MAWI" Fragment wystawy Republik

Fot. W. Macieszko

POWIAT W LESSOWYCH PYŁACH

(Dokończenie ze str. 1)

gdzie indziej zawsze występowali jacyś kronikarze swoich miejscowości i informowali z najdrobniejszymi detalami historycznymi o ich historii. Ten lokalny patriotyzm jest również motorem działania miejscowych towarzystw kulturalno-społecznych. Pracuje aktywnie w Lubaczowie niedawno założony oddział powiatowy PTTK, działa Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubaczowskiej; Koło Tow. Przyjaciół UMCS, Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie oraz Koło Studentów Ziemi Lubaczowskiej. Trudno w tym artykule szczegółowo omawiać program i pracę każdego z tych towarzystw — należy ogólnie stwierdzić, iż są czynne, ruchliwe, pełne pomysłów i inicjatyw zmierzających do aktywizacji powiatu. A co najważniejsze, żywo ze sobą współpracują i mają pełne poparcie władz powiatowych.

Jedna z tych inicjatyw to zawarcie „czwórporozumienia" w sprawach m. in. kulturalnych i turystycznych pomiędzy powiatami Jarosławiem, Lubaczowem, Tomaszowem Lubelskim i Biłgorajem. Te cztery graniczące ze sobą powiaty dwóch województw rzeszowskiego i lubelskiego wymieniają doświadczenia z zakresu organizacji życia kulturalno-oświatowego, przesyłają sobie nawzajem ciekawsze imprezy artystyczne i zespoły, organizują wspólne konferencje i sejmiki działaczy k. o. Jednym z celów czwórporozumienia jest również wspólna akcja zmierzająca do turystycznego zagospodarowania Roztocza, atrakcyjnego terenu wyżynnego, który leży dokładnie na skraju wszystkich czterech powiatów. Nie trzeba tu chyba bliżej wyjaśniać jak bardzo słuszna jest taka decyzja — tylko w ten sposób Roztocze może zamienić się w region turystyczny dorównujący popularnością Bieszczadom — aby tylko w ślad za zamierzeniem poszło konkretne działanie.

Zamierza się także podjąć inną próbę aktywizacji gospodarczej powiatu. Władze powiatowe chcą wystąpić z wnioskiem o uznanie powiatu lubaczowskiego za region turystyczny. Starania te zasługują na zdecydowane poparcie. Lubaczowski krajobraz ma niepowtarzalny urok zarówno w części nizinnej, jak i na wyżynie Roztocza. Wielu turystów wybierze się tu w poszukiwaniu spokoju, ciszy i wielkich leśnych masywów. Dużym atutem turystycznym gospodarzy jest pięknie położony Horyniec, bardzo ciekawy rezerwat Rebizanty na Roztoczu, pięknie spadająca z wyżyny Roztocza Tanew oraz sporo interesujących zabytków architektury, jak pałac Ponińskich i teatr oraz ciekawy zespół klasztorny w Horyńcu, dawny pałac Łosiów w Narolu, zabytkowy dwór w Wielkich Oczach, unikalna cerkiew w Radrużu i mnóstwo starych pomników i kapliczek. Te nieprzeciętne walory ziemi lubaczowskiej już obecnie ściągają w sezonie około 5 tysięcy turystów. Dość dobre drogi ułatwiłyby dotarcie turystom samochodowym. Przy dobrej organizacji miejsc noclegowych, parkingów, zaopatrzenia i sieci gastronomicznej powiat lubaczowski ma szanse zyskania wielkiej popularności turystycznej, a więc i pewnej aktywizacji regionu.

Koło Studentów Ziemi Lubaczowskiej rozwija żywą działalność na rzecz fundowania stypendiów przez zakłady pracy. Zachęca do powrotu w Lubaczowskie absolwentów wyższych uczelni, troszczy się o stworzenie dla nich dobrych warunków pracy i życia kulturalnego. I tu wysuwa się różnego rodzaju inicjatywy gospodarcze i kulturalne oraz rozpatruje się perspektywy na przyszłość. Koło towarzystwa przyjaciół lubelskich uczelni w Lubaczowie organizuje m. in. objazdy po powiecie studenckich ekip medycznych, weterynaryjnych czy rolniczych dla prowadzenia badań specjalistycznych. Zaplanowano szereg imprez turystycznych w Roztoczu, obozy naukowe, spotkania i odczyty. Ta mocna więź studentów i inteligencji twórczej ze swoimi stronami, z całym społeczeństwem powiatu i bardzo żywe angażowanie się w bezinteresowną pracę dla jego dobra stanowi chlubną specyfikę Lubaczowa, godną naśladowania.

Oto garść pomysłów, inicjatyw, zamierzeń na przyszłość działaczy powiatu. Świadczą one wymownie o tym, że nikt tu nie czeka z założonymi rękami na to, co los przyniesie. Tragiczne doświadczenia historii nikogo tu nie zniechęciły.

* * *

Ta charakterystyka dotyczy również prawie wszystkich mieszkańców tego regionu. Na odczytach czy spotkaniach z dziennikarzami w Oleszycach, Łukawcu, Wielkich Oczach, Dachnowie, Rudzie Różanieckiej i wielu innych miejscowościach powiatu zawsze sale wypełniają widzowie do ostatniego miejsca. Dyskusje na tematy gospodarcze i kulturalne czasem rozpalają uczucia zebranych do białości. Widać jak bardzo zależy tym ludziom na rozwoju własnych miejscowości, na randze powiatu. Z goryczą wspominają niektórzy o utraconych prawach miejskich, szukają sposobów na aktywizację wiosek i osad. Z tego czasem rodzą się animozje i konflikty niegroźne zresztą, np. między Oleszycami a Lubaczowem, Cieszanowem a Narolem itd. wynikające z ambicji lokalnych i zaangażowania. Jakaż tu chłonność kulturalna, jak żywo rozwija się ruch amatorski, mimo iż jak wspomniałem, warunki tej pracy są tu bardzo trudne. Ileż tu pracuje zespołów teatralnych, kapel ludowych zdobywających sukcesy na przeglądach wojewódzkich.

Z Lubaczowa wyjeżdża się zawsze z dużym bagażem optymizmu i uznania dla jego mieszkańców. Wbrew pozorom w tej cichej, pustej i melancholijnej krainie tętni żywy nurt życia. Szare, biedne, ze śladami zniszczeń wioski wprzęgnięte są tak samo w rytm współczesności jak wszędzie gdzie indziej. Ale tym ludziom trzeba pomóc, trzeba ich wesprzeć, nie tylko moralnie, w ich ofiarności i skrzętności. Apeluję o pomoc w tworzeniu bazy kulturalnej i likwidację białych plam w 28 wioskach. O pomoc dla Lubaczowa — by stał się prawdziwym centrum kulturalnym tego ambitnego regionu.

JAN GRYGIEL

LUBACZÓW *Fot. M. KOPEC*

Zdzisław Kozioł

ZWIERCIADŁO

ZKIM BY W TARNOBRZEGU nie rozmawiać, każdy podnosi problem zatrudnienia kobiet, akcentując palącą kwestię jedynych żywicielek rodzin: kobiety samotne, opuszczone przez mężów, panny z dzieckiem, żony pijaków, żony chorych mężów, matki, które dochowały się nader licznego potomstwa — sześciorga, ośmiorga dzieci.... Zdecydowana większość zatrudnionych w Fabryce Firanek w Skopaniu i jej tarnobrzeskiej filii m u s i pracować. Więc pracują solidnie, wysoko przekraczają normy, osiągając 115—120 proc. W tarnobrzeskiej filii, w której wyrabia się tasiemki — 40 mln metrów rocznie — robotnica obsługuje 1000 wrzecion oraz 400 nitek gumowych; kiedyś jedna pracownica dawała zaledwie 30 proc. obecnej produkcji. — W przemyśle lekkim — mówi mi jeden z kierowników — nietrudno jest wyznaczyć normy uzasadnione. Praca nie jest tu może ciężka, lecz uciążliwa: szum wrzecion przyprawia o ból uszu, ośmiogodzinne stanie przy maszynie, a potem kilkukilometrowy marsz do domu, względnie bieganina po sklepach, wybranie dziecka z przedszkola, praca w domu...

Każdy z kierowników zaczynał swą relację od chwalenia załogi, zastrzegając się, że kłopotów nastręczają tylko jednostki, które nie przykładają się do roboty, czasami kradną, wykazują się brakiem subordynacji wobec przełożonych. Oddzielną grupą są kobiety, które pracują, by mieć własne pieniądze na ciuchy i kawę... Pozostałe, podkreślano mi wielokrotnie, m u s z ą pracować

Nie będę więc pisał o kobiecych konfliktach, plotkach i intrygach. Wobec istotnych dla tej załogi problemów, drastyczny spór młodych dziewcząt o chłopaka zakończony podrapaniem twarzy i zwichrzeniem fryzury jest tylko incydentem. Incydentem jest także rzucenie w kierownika ogryzkiem lub inne przejawy zachowania niemłodej już kobiety, samotnej, o której szefowie często rozmawiają, nie mogąc się zdecydować na podjęcie decyzji. — Zwolnić z pracy — niehumanitarnie, ale i tolerować tych wyskoków nie można. Trzeba chyba — mówią — zasięgnąć opinii lekarza...

Podarujmy sobie jednak tego rodzaju szczegóły, choć i one składają się na zagadnienie stosunków międzyludzkich. Wydaje mi się, że rozwiązywanie różnego rodzaju konfliktów jest utrudnione wówczas, gdy szefami i przedstawicielami załogi kobiecej są wyłącznie lub w zdecydowanej większości mężczyźni. W tarnobrzeskiej filii dopiero przed paroma tygodniami awansowano 3 kobiety na mistrzów.

Jeszcze słów kilka o sytuacji na rynku pracy w Tarnobrzeskiem. Miasto rozbudowuje się, przybywa ludzi, dla mężczyzn pracy nie brakuje, kobiety natomiast szukają zatrudnienia. Urywają się telefony w Skopaniu: — przyjmijcie tę, ową, dziesiątą kobietę, bo jej sytuacja jest rozpaczliwa. Niejedna interesantka zalewa się łzami prosząc o pracę... Fabryka Firanek rozwija się w cieniu „siarki", której milionowe zlecenia przyjmują przedsiębiorstwa budowlane, natomiast nie ma kto podjąć się wykonawstwa robót dla Skopania za kilkaset tysięcy złotych. Za mały przerób. Ale Fabryka jakoś sobie radzi. Dostała z rocznym wyprzedzeniem maszyny niemieckie, supernowoczesne; więc na gwałt szykuje się hale fabryczne, by uruchomić wykończalnię nie przerywając normalnej produkcji. Swoje firanki przekazują obecnie innemu przedsiębiorstwu, które po uszlachetnieniu eksportuje je, biorąc dla siebie całą premię eksportową. O eksporcie mówi więc każdy: dyrektor, jego zastępca, sekretarz POP, jedna z trzech mistrzów w spódnicy, która oprowadzała mnie po filii w Tarnobrzegu, a także robotnice i brakarka.

Załoga fabryki jest przekonana, iż zmiany w zakładzie, zwłaszcza jego rozbudowa i modernizacja, dokonuje się z myślą o niej, dla jej korzyści i wygody. Pokazano mi przedszkole, dom kultury i basen pływacki. Jeden z kierowników ze zjednoczenia przez 3 lata nie przyjeżdżał do Skopania, bo na wieść, że powstaje tam dom kultury, miał powiedzieć: „Będą mieć dom kultury, jak mi włosny na dłoni wyrosną". Fabryka Firanek dom kultury ma, placówki takiej nie zafundowały sobie natomiast inne zakłady, bogatsze, o liczniejszej załodze. Ma również własny ośrodek kolonijny, w którym dzieci matek pozostających w szczególnie trudnych warunkach przebywają przez całe wakacje. W filii tarnobrzeskiej chwalono się estetyką hal, parkietami, uporządkowanym terenem fabrycznym z krzewami ozdobnymi; tereny uporządkowała załoga w czynie społecznym. Chwalono się także wygódkami; o czystość w których toczyła się bez mała batalia; można by ten epizod pominąć lub potraktować go satyrycznie, ale chodzi tu przecież o stan sanitarny zakładu, o czystość.

W tarnobrzeskiej filii chcą zlikwidować wygódki, zastąpić je z prawdziwego zdarzenia urządzeniami sanitarnymi w pobliżu hal, by zimą kobiety w bamboszach nie musiały biegać po śniegu, co powoduje przeziębienia, sprzyja rozwojowi chorób kobiecych. Niestety brak wykonawcy. Zresztą poważniejszym problemem jest w ogóle sprawa inwestycji w Tarnobrzegu, gdzie fabryka miała otrzymać nowe obiekty; realizacja uchwały KERM-u została odroczona. Martwią się w Skopaniu, czy to odroczenie nie jest równoznaczne ze skreśleniem inwestycji z planu. Takich prac w czynie społecznym się nie wykona, tej inwestycji nie można realizować, nie mając tzw. tytułu inwestycyjnego, jak to było z nową halą w Skopaniu. — My tu nie mamy nic do powiedzenia — mówi dyrektor Satora — jeśli władze nie załatwią, to nie będziemy mogli pomóc wielu kobietom czekającym na pracę.

Stefan Satora właściwie niewiele mówił o osiągnięciach zakładu, podkreślał troski i kłopoty. Widać, że nie myśli stereotypowo, dostrzega drobne, lecz istotne sprawy dnia powszedniego, od rozwiązania których zależy morale załogi. I Satora, i jego współpracownicy mówili o konieczności sprawiedliwego traktowania ludzi, co z kolei pozwala podnieść wymagania.

— Kierownik musi być sprawiedliwy, przełożony musi taktownie odnosić się do pracowników; o tym mówimy mistrzom, dyskutujemy na zebraniach partyjnych i naradach wytwórczych. To decyduje o atmosferze w zakładzie. A jeśli załoga spotyka się z przejawami troski, możemy liczyć na zaufanie, które wyraża się chociażby w tym, że zwracają się o pomoc w kwestiach nie leżących w naszej kompetencji, np. prosi pracownica, by pomóc napisać odwołanie w sprawie podniesienia grupy inwalidzkiej chorego męża, inna zaś, by wystarać się jej dziecku o prewentorium. Pytają nas także o zasłyszane nowinki polityczne, będące często absurdalnymi plotkami lub wieściami rozsiewanymi przez zagraniczne ośrodki dywersji

ideologicznej, a regułą jest, że im niższe wykształcenie, tym większa podatność na te wpływy. Lecz regułą jest także to, że przełożony w takich załogach spełnia nie tylko rolę produkcyjną... Szczególnie ważne jest umiejętne kierowanie załogami kobiecymi, które są wrażliwym zwierciadłem ż y c i a.

Tak w dużym skrócie można by zaprezentować poglądy moich rozmówców na zagadnienie kierowania ludźmi w procesie produkcji, przy czym dyrektor Satora podkreślał, że jego zakład nie spełnia jeszcze w pełni społecznej funkcji: — Nie wszystkie poczynania socjalne kończą się powo-

ŻYCIA

dzeniem. I tak, np. problem opieki zdrowotnej; załoga kobieca jest podatna na epidemie, a 10 proc. zwolnień lekarskich przypada na opiekę nad chorymi dziećmi. Tym czasem są ścisłe limity funduszów na zasiłki chorobowe, których przekroczenie pociąga obniżenie funduszu płac. Przy okazji usłyszałem obszerniejszy wywód na temat finansowania zakładu, limitowania funduszu płac, sporów z ZUS-em itp.

Kobieca załoga musi mieć troskliwą opiekę lekarską; zakład ma ambulatorium, poszukuje lekarza, dla którego zarezerwowano 3-pokojowe mieszkanie w willi ze wszystkimi wygodami z wyjątkiem gazu. Zresztą i ta niedogodność jest do pokonania; gaz można pobierać z butli. W Skopaniu lekarz nie chce się osiedlić. Pilnie potrzebny jest ginekolog; kobiety na badania muszą jechać do Tarnobrzega. Kiedyś do Skopania przyjeżdżał raz w tygodniu ginekolog, którego kobiety chwaliły; był punktualny, uprzejmy, leczył ubiezpieczone kobiety... Musiał jednak z pracy zrezygnować. Dlaczego? Usłyszałem odpowiedź wymijającą, a gdy poprosiłem o szczegóły, usłyszałem sarkastyczne zdanie: „Leczył w ambulatorium zakładowym, co odbiło się na prywatnej praktyce innych lekarzy". Zamiast komentarzy, pozwolę sobie powiadomić wojewódzkie władze służby zdrowia, że ponad tysiąc pracownic Fabryki Firanek w Skopaniu nie ma należytej opieki lekarskiej, zwłaszcza ginekologicznej.

Niepowodzeniem zakończyły się również zabiegi dyrekcji o zapewnienie dojazdu pracownikom; najęcie autobusów PKS-u byłoby zbyt kosztowne, gdyż tabor nie byłby w pełni wykorzystany. Inne pretensje załogi? Na to pytanie każdy, poczynając od dyrektora a kończąc na pracownicy obsługującej maszynę tkającą firanki z włókien sztucznych, zgodnie odpowiadał: zaopatrzenie sklepów w Skopaniu, konieczność stania po półtorej nawet godziny za mlekiem, ryżem, chlebem, ciągłe wyjazdy po zakupy do Tarnobrzega i Stalowej Woli, brak podstawowych artykułów. Dyrektor Satora zrezygnowanym tonem mówi, że handlowcy postępują nieuczciwie: — Nie dość, że ludzie tracą czas i pieniądze na wyjazdy po wędliny i mięso, to jeszcze usiłują nam wmówić, że nasze pretensje są nieuzasadnione; gdy podnosimy zbyt głośny alarm, przywożą brakujące towary wraz z komisją, która swierdza, że zaopatrzenie jest właściwe.

Rozmowa znów schodzi na problemy dnia codziennego, troski i kłopoty kobiecej załogi. — Czy wszystkiemu możemy podołać — zadaje retoryczne pytanie dyrektor Satora. A pytanie to ma dwojaki sens; chodzi o załogę jako całość i poszczególne pracownice. Niejedna pozostająca w trudnych warunkach umie sobie radzić, dopomni się o pomoc, ale są i takie, które w milczeniu znoszą przeciwieństwa losu. — My jeszcze nie wiemy, komu właściwie trzeba udzielać pomocy, nie umiemy wyszukiwać tych ludzi. Jeden ze współpracowników dyrektora zaprotestował, dowodząc, że zakład i czynniki społeczne zrobiły już sporo. — Ale czy wszystko — uciął szef.

Wyjeżdżając ze Skopania, zastanawiałem się, czy aby ta replika nie była przeznaczona dla prasy. Mój przyjaciel i jego koledzy, których u niego zastałem, ludzie dobrze zorientowani w miejscowych stosunkach, rozwiali moje zastrzeżenia; niewielka kiedyś fabryczka przekształciła się w przedsiębiorstwo usilnie modernizowane, unowocześniające się, a chociażby tylko obiekty socjalne i kulturalne można uznać za przejaw troski o załogę. Kierujący nim ludzie wiedzą, że bez aktywnego poparcia załogi nie będzie można osiągnąć zamierzeń, jakie stawia sobie kierownictwo. Poza opisanymi już zabiegami o konsolidację załogi, dbanie o wysokie jej morale, występuje jeszcze jeden moment, który nazwałbym wyzwalaniem się z kompleksu prowincji; pracownicy zakładowym autokarem jeżdżą po Polsce, zwiedzając m. in. fabryki swej branży, widzą jak gdzie indziej ludzie żyją, dopominają się o innowacje, ale często mówią: — W tej naszej „pipidówce", w n a s z y m zakładzie jest lepiej, czyściej, ładniej. Zakład przez trzy lata pod rząd zdobywał sztandar przechodni, by po przerwie odzyskać go znowu.

I chyba nie będzie banalne określenie, jeśli powiem, że traktowanie zakładu jako s w o j e g o jest ważnym świadectwem wysokiego morale pracowników, ściślej pracownic, z których większość m u s i pracować i pracuje solidnie.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Bogumiła Grzędzielska

SNY W OKNIE

I. MELODIA

Był czas kwitnienia traw, cierpki czas rozgryzania zielonych źdźbeł młodymi zębami, kiedy astmatyczna lokomotywka zatrzymała się na stacji. Wysiadłam z wagonu prosto w ciemność pulsującą wiatrem. Skąpo rozwieszone lampy w dworcowej alei mżyły żółtym światłem gromnic i gdyby nie ta melodia, która była we mnie, przyjechała ze mną niezagłuszona turkotem kół, mogłabym sądzić, że jest tylko ulica zamknięta koroną drzew, asfalt i kroki o niespokojnym rytmie.

Szłam tą aleją długą i bezludną, zakończoną kwietnym skwerem. Rozróżniałam zapach nasturcji i geranium. Od skweru strzeliście biegły trzy ulice zamknięte perspektywą nocy. Wybrałam tę pierwszą, którą zaczynały domy o nawisłych dachach

— Dobry wieczór pani — zatrzymał mnie głos. Nie widziałam mówiącego. Słowa dobiegały z wnętrza najbliższej bramy. Przystanęłam. — ...czy słyszy pani tę melodię?

— Melodię?

— Przywiozła ją pani ze sobą. Przez wiele kilometrów towarzyszyło pani nieśmiałe piano rozstrzelone wibracją wagonu. Proszę wyciągnąć ręce!

Wiedziałam. Oto wstaje gama dźwięków ukryta w moich palcach. Potężne forte budzi miasteczko. Każda nuta to czereśnia pęknięta od słońca, melodia spływa jak sok.

Jest dzień, uliczka o kolorowych domach, otwarte okna. Idę, patrzę w okna, mijam okna. Okna są jak oczy wypełnione codziennością. Siedzi kot na parapecie puszysty i pręgowany, myje łapą pyszczek, dziewczyna podlewa kwiaty rozpryskując wodę, staruszka trzepie dywanik, dziecko rysuje palcem po szybie, chłopak karmi kanarka — w oknie stoi garnuszek, książka i radioodbiornik. Idę. Uliczka kończy się głębokim wykrotem. Przede mną w dole kałuże wody przecięte krzyżem ram. Chcę się cofnąć, ale nie mogę, ślizgam się po błocie. Błoto zniszczyło mi buty, jakże więc wrócę na skwer ognisty od nasturcji, pachnący geranium. Jestem zmęczona, rozmiękła glina spętała mi nogi, chyba upadnę. Na krańcu tej drogi, na dole ktoś podaje mi ramię.

— Pani dłonie są zbyt wątłe, aby naciągnąć struny altówki...

II. SKLEP

Znalazłam wreszcie ten sklepik z witryną zasłoniętą papierem, z zatartym szyldem wiszącym nad drzwiami. Za kontuarem stał stary człowiek. Na powitanie podał mi laskę ze srebrną gałką. Trzymałam w dłoni obły i chłodny kształt nie wiedząc jak wytłumaczyć niespodziewaną wizytę o zmierzchu, kiedy miasto nabrzmiewa szarością, nadchodzi pora zamykania drzwi i rozbłyskiwania okien.

Staliśmy naprzeciw siebie oddzieleni długością laski aż metal w moich dłoniach stał się ciepły jak ręce drugiego człowieka.

— Wiedziałem, że przyjdziesz — mówił stary człowiek — odnajdziesz mój kram, obejrzysz świecidełka. Widzę twoje zmęczenie, kurz na włosach, ubranie w nieładzie. Odpocznij w moim sklepie. Tak długo czekałem na klienta. Spojrzyj, z płyt chodnika przed drzwiami wystrzela trawa.

Chciałam się odezwać, lecz palce starca dotknęły moich ust, oczu, czoła.

— Nie kupię twoich słów, dziewczyno. Mam ich zbyt wiele. Patrz — leżą na półkach bezużyteczne, twarde. Ostatnie nabyłem wtedy, gdy dwaj chłopcy przejeżdżając uliczką na rowerach krzyczeli „Stary Eugeniusz zwariował! Sprzedaje tęczę na centymetry, kupuje uśmiechy o smaku jabłek, wymienia deszczowe krople. Stary Eugeniusz zwariował! Słońce uwięził w lusterku, kupujcie płatki słońca!" Zbiegli się ludzie z miasteczka.

(Ciąg dalszy na str. 8)

ZOFIA STĄPOR

Pożegnanie

Miasto wydaje mi się obce i puste, choć potrącają mnie przechodnie, a ktoś woła przyjaźnie dzień dobry.

Idę w cieniu nieobecnych domów, witryny sklepów przesuwają się jak okna pociągu.

Bezradnie staję na skrzyżowaniu ulic.

Cztery ściany chwieją się jak domek z kart.

Zgnieciony w zaciśniętej dłoni kwiat układam delikatnie na kartach książki. Długo wygładzam każdy płatek, wreszcie zamykam książkę i stawiam w szeregu innych.

Przez chwilę patrzę w kołyszące się okno. Biała ćma usiadła na niedopałku papierosa.

Zapach tytoniu miesza się z zapachem dłoni, w zagięciu palca zostało jeszcze trochę żółtego pyłku.

EDWARD ZOLOWSKI

Mój żywioł

— to las szumiący słońcem wiosennym
krople drążące marmur kory
— to koncert ptaków na fletach szyszek
jodły odziane w zmierzch różowy

przychodzę tutaj porą skowronków
piwonią świtu po mrówkach piasku
cienistą ścieżką wśród starych sosen
na której tyle modrego wiatru

— to wasze oczy — liście zielone
panny brzozowe niebem jasne
— to bieg przez świerki saren płochliwych
kwiaty paproci snem otwarte

aby stąd odejść do domu swego
jeszcze raz brodzę po łące nieba
wiatr chwytam w dłonie za modrą grzywę
aż cała przestrzeń znów się rozśpiewa

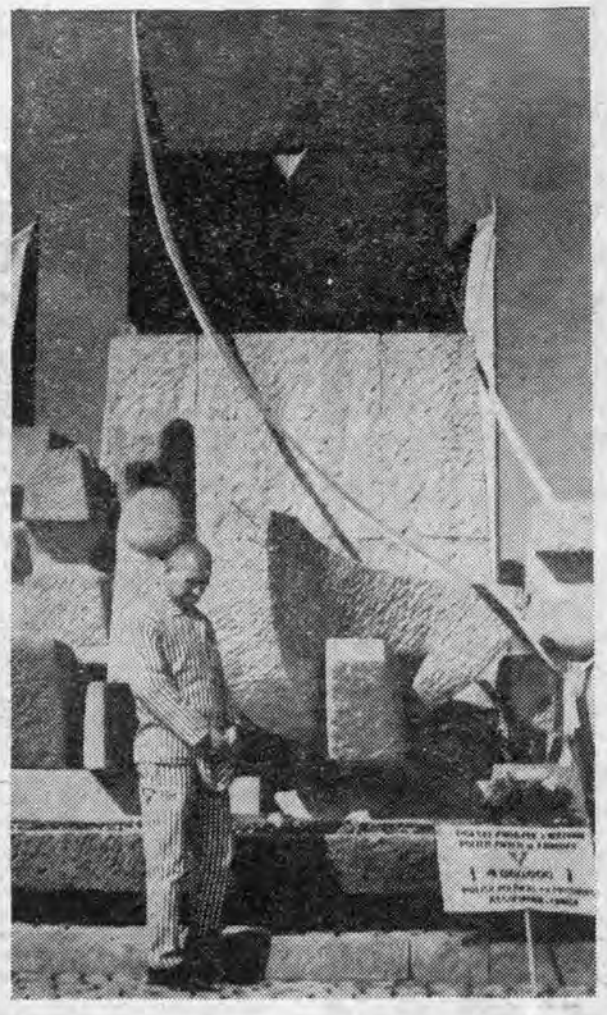

Złoty Medal dla współpracownika „Widnokręgu"

Piękny sukces odniósł na VIII Międzynarodowej Wystawie Fotografii Krajów Nadbałtyckich — Rostock 1967 zorganizowanej z okazji „Dni Bałtyku", Józef Ligęza, współpracownik „Widnokręgu". Józef Ligęza zdobył Złoty Medal za cykl zdjęć pt. „Ausschwitz 1967", obrazujący odsłonięcie pomnika męczeństwa w Oświęcimiu.

Na wystawę w Rostocku nadeszło 1 296 prac 323 autorów. Polskę reprezentowało 25 fotografików, nagrodzono — 9.

Józef Ligęza, którego fotogramy Czytelnicy „Widnokręgu" dobrze znają, urodził się w Czudcu i mimo że obecnie mieszka w Katowicach, z Rzeszowszczyzną jest mocno związany węzłami rodzinnymi. Fotografią zajmuje się od 1959 roku, jest członkiem Katowickiego Towarzystwa Fotograficznego, zdobywcą szeregu wyróżnień zagranicznych i I nagród w konkursach ogólnopolskich.

Zdjęcie „Świadectwo prawdy" z nagrodzonego cyklu „Ausschwitz 1967".

Krystyna Swierczewska

Populistyczny traktat o szczęściu

„Ludzie powinni być szczęśliwi na świecie. Zwłaszcza ci, co budują komunizm".

Brzmi ta filozofia prosto i łatwo ją przyjmujemy. Tylko że wiele prawd filozoficznych brzmi równie łatwo i prosto, choć wynikają z wielkiego bagażu przemyśleń i doświadczenia. Prości ludzie zwykle nie przyjmują takich twierdzeń jako filozofii, są one bowiem dla nich częścią zwyczajnego życia. I właśnie przed 8 laty o takich prostych ludziach opowiedział historię Aleksy Arbuzow, precyzujący jej miejsce we Wschodniej Syberii, nad Angarą, pod Irkuckiem.

Trochę w niej rozbił mit syberyjski, bo pięknie nad tą Angarą: zieleni się trawa, pachnie przyroda, padają deszcze; dobrodusznie pokpił z młodości, acz dostrzegł jej buńczuczną wiarę, że od dziś świat zmieni na lepsze i przede wszystkim napisał opowieść o szczęściu, która jak w Asnykowym wierszu, co zaczyna się od słów „Siedzi ptaszek na drzewie i ludziom się dziwuje, bo najmędrszy z nich nie wie, gdzie się szczęście znajduje" — poprzez antytezę jego pierwszych linijek też za polskim pozytywistą i szeregiem filozofów, a więc nie odkrywczo, lecz zgodnie z prawdą dochodzi do pozornie prościutkiej tezy, że to szczęście znajduje się w środku człowieka, w jego rozumnym oglądaniu świata.

Nie pierwszy raz widzę „Irkucką historię" i zawsze urzeka mnie ta prostota w dochodzeniu do szczęścia. Jest jak realistyczna bajka opowieścią z happy endem, jak bajka lubi ludzi zwykłych, jak bajka mniej więcej w połowie zmaga się z dramatycznym fatum które znowu jak w dobrej bajce jest wynikiem heroizmu ludzkiego, przeprowadza i zarazem sprawdza dowód na wielką wagę charakterów silnych i jak dobra bajka jest inspirowana opowieściami autentycznymi i opowiedziana soczystym językiem.

Tyle że nie ma w niej treści bajkowych, lecz fakty z wielkiej budowy komunizmu, że nie ucieka w historię, lecz ją wyprzedza, choćby w tym prostym zdaniu, że ludzie budujący komunizm powinni być szczęśliwi. I jest swoista kategoryczność w tym „powinni", nakaz niemal; szczęśliwi nie tylko dlatego, że budują po raz pierwszy ustrój ludzkiej sprawiedliwości, ale też i dlatego, że będąc szczęśliwi lepiej go urządzą i mądrzej przemyślą. Toteż ten podwójny sens szczęścia nadaje arbuzowowskiej opowieści wymiar ludowego traktatu filozoficznego.

Bardzo mi się podobała „Irkucka historia" w Teatrze im. W. Siemaszkowej. Właśnie dlatego, że była opowiedziana prosto i z humorem. Że dotrzymała kroku autorowi i jak on sam, wszak znawca rzemiosła dramatycznego rezygnuje mimo nie z dramatycznych chwytów, spięć, skrótów, na rzecz epickiej rozlewności — tę rozlewność uszanowała. Dostaliśmy więc opowieść, w której liryzm był wyważony z komizmem, w której zło było bardzo ludzkie i dalekie przewrotności, charaktery proste i naiwne; słowem — podirkucką krainę dobra współczesnego, gdzie się pracuje dobrze, kocha dobrze i rozumie bliźnich.

Jest w „Irkuckiej historii" Chór, wzorowany na antycznym, który zapowiada i komentuje zdarzenia. Może właśnie dzięki niemu często ją grano z wyraźnym upodobaniem do tragedii (bo i takie akcenty sztuka zawiera, na pewno, choć tragedią nie jest). Kiedy po ukazaniu się „Irkuckiej" włączył tę sztukę do swego repertuaru Teatr imienia Wachtangowa w Moskwie (i zresztą gra ją po dzień dzisiejszy z niesłabnącym powodzeniem) Chórem byli wszyscy uczestnicy dramatu; w innych spektaklach Chór był odrębnym elementem, ale zawsze wieloosobowym. I trzebaż dopiero było Erwina Axera, żeby Chór przekształcić w jednoosobowego Narratora, granego w Teatrze Współczesnym przez Fijewskiego, jako starego robotnika, który z tysiąca własnych doświadczeń, tym jednym — irkuckim — dzieli się z widownią. Zdaje mi się, że jako stary człowiek u kresu drogi, bardzo pięknie Fijewski opowiada irkucki epizod i ma do tego prawo, by komentować tę jeszcze jedną historię o szczęściu.

W rzeszowskim przedstawieniu, które reżyserował **Stanisław Bieliński** Narratora gra on sam i jest w tej roli wyraźna chęć utożsamienia się z autorem, który życzliwym okiem patrzy na wydarzenia. Narrator — Bieliński tym różni się od Narratora-Fijewskiego, że nie opowiada zdarzeń, lecz wyłącznie je komentuje. W miejsce fajeczki Fijewskiego trzyma w ręku okulary i manuskrypt i bardzo lirycznie, z miłym uśmiechem mówi nam, że dzieci są dobre, wymagają więcej snu, że Wala nieszczęśliwa, że się zmienia, że zaczyna kochać Siergieja, słowem, że ludzie są dobrzy. Taki Narrator więc potęguje ładunek liryzmu samej sztuki. Ładne są na pewno te partie, gdzie próbuje dyskutować z postacią sceniczną — mniej konieczne te, gdzie objaśnia zdarzenie, które doskonale mogłoby się obejść bez komentarza, bo ten, dublując je, staje się automatycznie zabiegiem nużącym i nazbyt już naiwnym.

Podobali mi się w tym przedstawieniu wszyscy aktorzy, dlatego też można tu mówić o zespole. Zespole w dodatku poszerzonym o nowe twarze. Walę bowiem grała debiutująca na naszej scenie **Wiesława Bojadżijew;** grała dziewczynę z temperamentem, trochę zadziorną, trochę krzykliwą, bardzo zwyczajną. Nie była to może „Wala — co wszystkim pozwala", bo jej szorstka bezpośredniość na pewno niektórych z tych „wszystkich" by odstraszyła, ale była to chyba Wala — człowiek pracy. Dziewczyna o ludzkim pragnieniu nieskomplikowanego szczęścia — czyli postać, o jaką właśnie chodziło Arbuzowowi.

Podobał mi się Siergiej **Zdzisława Kozienia** i przypominał tą rolą dawne najlepsze kreacje. Choć to więc może zabrzmieć pozornie bez związku, zobaczyłam znowu u niego ciepło i życzliwość Pierre'a Bezzuchowa (wtedy w „Wojnie i pokoju" — dobrym spektaklu sprzed paru laty najlepszą bodaj kreację tego aktora). Niechże więc Kozienia w żółtych butach i niebieskim uniformie publiczność nie psuje oklaskami, bo działają nań tak, jak kielich musującego szampana i trudno mu utrzymać łokcie przy sobie, być porządanym, młodym żonkosiem, który chce wtajemniczyć żonę w arkana koparki i mów Adenauera. Bijcie mu brawa w duchu, jak ja to robiłam, a zobaczycie d o k o ń c a aktora o wielkich możliwościach i wielkiej powściągliwości, która roli tak potrzebna i tyle przydaje jej najwnej prostoty oraz wzruszającego liryzmu.

Podobał mi się Wiktor **Tadeusza Pokrzywki.** Choć nie znam jego możliwości aktorskich, bo swoją rolą i on debiutował na scenie rzeszowskiej, ale debiut to był ciekawy, przewijały się w nim bardzo ładne momenty wrażliwego łączenia rubasznej pustoty właśnie z prostotą; bo były w tej roli i ładna zaduma, i dyskretny dystans wobec pierwowzoru.

Podobała mi się Laryssa **Zofii Gorczyńskiej** — ludzka, miła komediowa; podobał — kozaczek — Zinka **Anny Kułajowicz,** bardzo przecież śmieszny i lirycznie zadziorny. Podobał — **Jan Adamski** — Serdiuk pełen słabości dla kobiet, zaciągający z wileńska; podobał śmieszny głuptas Łapczenko **Adama Fornala;** podobali wszyscy inni, że wymienię chociaż harmonistę **Wincentego Zawirskiego** (chciałabym zobaczyć go w dublerze Kozienia, bo rzecz musi być ciekawa), podobał **Gońda, Zaremba, Urlata, Lityńska, Angerman.** I boję się, by kogo nie pominąć, bo pracowali na to przedstawienie przyzwoicie, bo dali nam 2 godziny przyjemności i dobrego, uczciwego rzemiosła aktorskiego.

A patronował im Stanisław Bieliński — aktor skromny, usuwający się w cień, komentujący prostą irkucką historię.

I podobało mi się, że Bieliński za Axerem zaproponował nam „Irkucką historię" jako ludową balladę o współczesności, znajdując dzielnego partnera w Irenie Perkowskiej, która funkcjonalnie nowoczesną scenografię do sztuki opracowała.

Teatr im. W. Siemaszkowej — Aleksiej Arbuzow: „Irkucka historia". Przekład: Jerzy Jędrzejewski. Reżyseria: Stanisław Bieliński. Scenografia: Irena Perkowska. Muzyka: Janusz Ambros: Choreografia: Bożena Niżańska. Asystent reż.: Zbigniew Zaremba. Osoby: St. Bieliński, W. Bojadżijew, Z. Gorczyńska, A. Kujałowicz, I. Angerman, F. Lityńska, A. Urlata, J. Adamski, Z. Kozień, W. Zawirski, T. Pokrzywko, K. Gońda, Z. Zaremba, A. Fornal. Premiera: 4. XI. 1967 r.

„STO LAT" dla Jubilatki

Uroczystości jubileuszowe 60-lecia pracy scenicznej Wandy Hoffmann-Fifagrowiczowej odbyły się po premierze „Niemców" Leona Kruczkowskiego w Teatrze „Fredreum" w Przemyślu (w spektaklu tym przemyska „Ćwiklińska" odtwarza jedną z głównych ról — Berty, żony prof. Sonnenbrucha).

Przemówienia okolicznościowe wygłosili: prezes Towarzystwa Dramatycznego im. A. Fredry — mgr Mieczysław Malec, kierownik Wydziału Kultury Prezydium PRN — Ryszard Stączek oraz zastępca kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN — Józef Kanik. Jubilatkę obdarowano koszami kwiatów. Nadeszły telegramy gratulacyjne, m. in. z Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie.

Gorącą owację sprawiła Jubilatce przemyska publiczność odśpiewując zasłużonej artystce amatorskiego ruchu teatralnego — tradycyjne „Sto lat!".

Scena z II aktu dramatu Leona Kruczkowskiego „Niemcy" wystawianego obecnie przez Teatr „Fredreum" w Przemyślu.

Na zdjęciu: Wanda Hoffmann-Fifagrowiczowa (Berta) i Aleksander Maresch (Willi).

Tekst i zdjęcie: M. NYCZEK

ALEKSANDER ŻYGA

„FETOWANIE" KOSCIUSZKI W SIENIAWIE

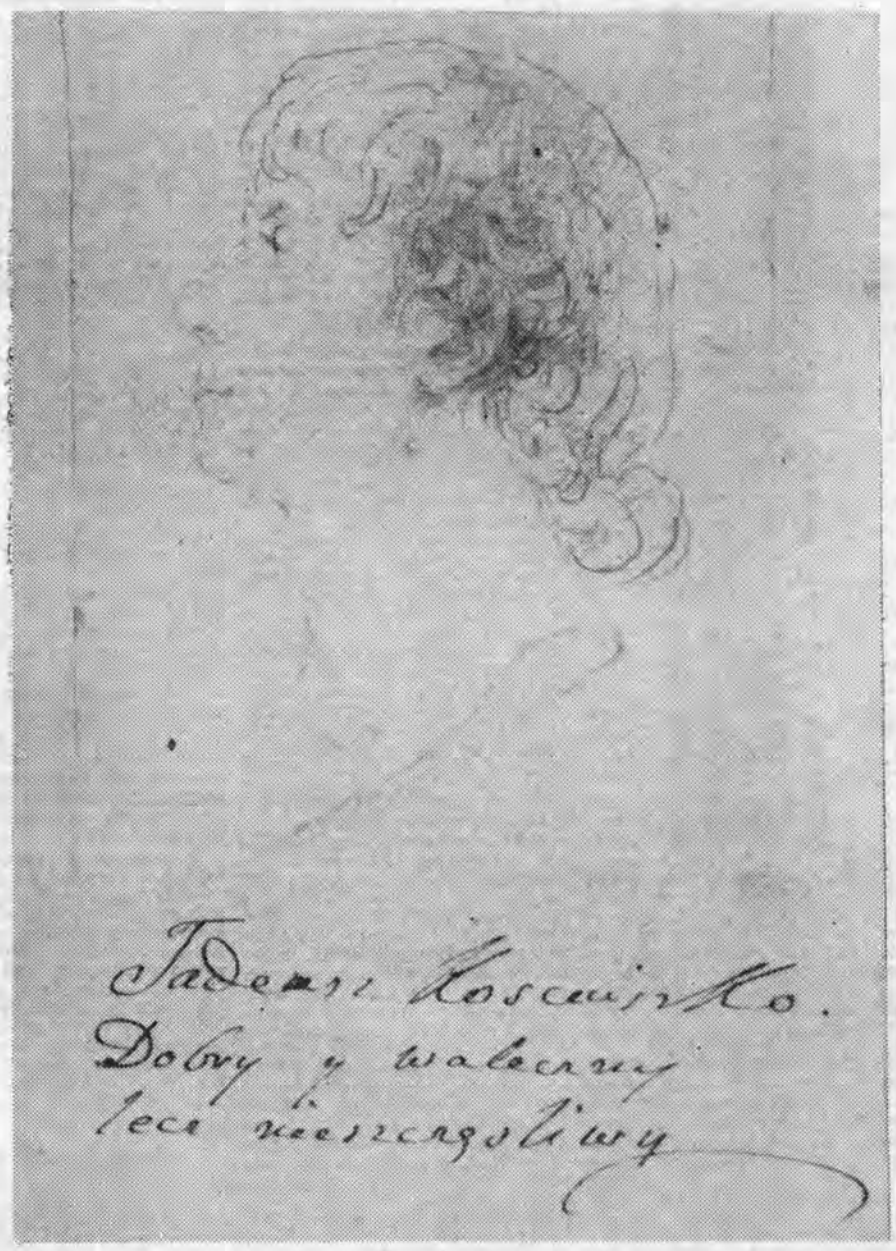

Był rok 1792 tuż po pierwszej rocznicy ogłoszenia Konstytucji 3 Maja. Król Stanisław August Poniatowski przystąpił do targowiczan, którzy pod osłoną Rosji targnęli się na zdobycze ustawy majowej. Na niewiele zdała się obrona konstytucji przed Rosją, prowadzona pod wodzą Tadeusza Kościuszki i młodego Józefa Poniatowskiego przez wojska polskie, ale Dubienka okryła sławą przyszłych wodzów polskich którzy zabłysnęli tu niezwykłymi talentami wojskowymi. W sytuacji, kiedy ziemie polskie wskutek zdrady konfederatów targowickich zalewały wojska carskie, okryty sławą pod Dubienką generał Kościuszko postanowił prosić króla o dymisję i opuścić kraj. Nie pomogły usilne nalegania Stanisława Augusta i warszawskich arystokratek z otoczenia królewskiego, które nawet oferowały generałowi swoje intraty: Kościuszko był uparty i stanowczy; honor nie pozwalał mu postąpić wbrew jego uczuciom narodowym. Targowiczan uznał za zdrajców ojczyzny i nie chciał im służyć. Załatwiwszy na prędce swe sprawy służbowe i rodzinne, przekroczywszy austriacki kordon graniczny, znalazł się w królestwie Galicji i Lodomerii.

„Wyjeżdżam w kordon cesarski — pisał stamtąd do Szwajcar może albo do Anglii, skąd będę się przypatrywał robotom w kraju naszym. Jeśli będą dążące do uszczęśliwienia kraju, powrócę; nie — oddalę się dalej. Nie wchodzę w służbę zagraniczną, a jeślibym był przymuszony przez stan mój ubogi, to wejdę w służbę, gdzie jest rząd wolny — jednak przywiązaniem nieodmiennym ku mojej ojczyźnie, której nie mogłem służyć"

Im bardziej skomplikowane i nieprzyjemne stawało się położenie generała, tym więcej wzrastała jego popularność w kraju. Gdziekolwiek się pojawił, witano go bardzo uroczyście i przyjmowano z aplauzem. Po przekroczeniu granicy austriackiej w sierpniu 1792 roku, Kościuszko podążył w kierunku na Sieniawę, gdzie przed opuszczeniem ojczyzny pragnął pożegnać się z przebywającą tam wtedy rodziną książąt Czartoryskich, a zwłaszcza z księżną Izabelą, która go już przyjmowała w Puławach. Liczył na życzliwe przyjęcie księstwa tym bardziej że był przecież niegdyś wychowankiem i jednym z najbardziej pojętych uczniów szkoły rycerskiej założonej przez męża Izabeli, księcia generała Adama Kazimierza Czartoryskiego. Atmosferę i sytuację polityczną, w jakiej w Sieniawie w jesieni 1792 roku „fetowano" Kościuszkę, zanotowała uczestniczka przyjmowania generała, jedna z największych piękności tamtych czasów: kilkunastoletnia wówczas córka Izabeli Zofia, późniejsza żona Stanisława Zamojskiego — w swoim pamiętniczku z czasów dzieciństwa i młodości:

„Podziwiałam naszych bohaterów (...) — pisała poprzez pryzmat młodzieńczych wspomnień — wojska rosyjskie wnet zajęły kraj, a moi rodzice emigrowali do swych dóbr położonych w Galicji. Za naszym przybyciem do Sieniawy wszystko wydawało się smutnym. Dobra te od dawna niezamieszkałe posiadały dom wielce niesposobny na to, aby nas wszystkich pomieścić — wszelako urządzono się niebawem. Korpus pałacu był wygodny, moi rodzice dobrze byli umieszczeni, my zaś wszyscy bardzo niewygodnie, że nie można gorzej; w pawilonie drzewianym, bez łóżek, bez mebli, ale goście się zjeżdżali, starano się pocieszyć i rozerwać w smutku, nie tracono nadziei, a nasza słodka nieprzezorność odzyskała znów swe prawa. Kościuszko, który stawał się coraz popularnym, bo się dał poznać z waleczności w ostatniej kampanii, a jego szlachetny i czysty charakter jednał mu ogólną cześć i miłość, przybył po ostatniej klęsce do Sieniawy, schronił się u mojego ojca, w domu, którego był wychowańcem. Stał się wnet bożyszczem wszystkich, a łącząc z największymi przymiotami duszy i umysłu dobroć, prostotę, bawił się codziennie z nami, wymyślał różne gry(...)".

W Sieniawie „fetowano" Kościuszkę uroczyście i z pompą. Księżna Izabela wydała swym córkom: Zofii i generałowej Wirtemberskiej, późniejszej autorce „Malwiny", polecenie, aby uwiły wieniec na cześć Kościuszki. Wykonały go z liści dębów, które w Wysocku, późniejszej własności Wirtemberskiej, własną ręką zasadził niegdyś król Jan III Sobieski po swym zwycięstwie nad Turkami pod Wiedniem. Obie córki księżnej, nie bez pomocy matki, skomponowały na cześć generała specjalne wiersze, które, aczkolwiek nie odznaczają się zbytnimi walorami artystycznymi i nie odbiegają od zwykłych okolicznościowych rymowanek, jednakże oddają one atmosferę jaka wówczas panowała w Sieniawie; napawała ona nadzieją i podniecała uczucia patriotyczne, pozwalające żywić nadzieje lepszej przyszłości — warto je tutaj przytoczyć:

Siedlisko mężów, ziemia, którą
Łodzia zdradził,
W niej pisał Orzechowski,
o niej Fredro radził,
Nad nią Karpat wyniosłe dźwiga niebo barki,
Z niej Żółkiewski, co ugiął wschodnich carów karki,
Jej Bug z Wieprzem, San, Wisła słońce soki pije,
Nimi zasila Polskę, nimi Polak żyje.
W tej to ziemi Sieniawski i Sobieski mężny,
Chwałą, dostatki, cnotą i mieczem potężny,
Szatą sławy odziani, po marsowym znoju
Pod dęby swego chowu szukali spokoju.
Muzułmanin więzy groził: starli Porty siłę,
Wiedeń zbawion — w Polsce sypano mogiłę.
Z nim zaległo męstwo, po nich więdły wieńce...
Spał Polak. Sąsiad zabrał uśnionych na serce.
Wiek mijał, jak wzrost brały bezrządowe prawa.
Polski sen przerwał: staje majowa ustawa.
Podblaskiem hołd oddała ludzkość zadziwiona.
Gwałt despotów wstrzymały z polskich rot ramiona.
Odwieczne świadki będą polskiego oręża,
Jak ogromne zastępy Kościuszko zwycięża.
Wieniec ten, coś zasłużył przy sławnej Dubience,
Wiążą ci preskielance z sadu wodzów ręce".

Po południu tego samego dnia, sieniawskie panie, ubrane w białe stroje z błękitnymi i czarnymi wstążkami, wziąwszy się za ręce, odśpiewały wiersz-pieśń, ułożoną przez przebywającego tam także wówczas w Sieniawie Tadeusza Morskiego, kasztelana przemyskiego.

W sukurs „fetowaniu" Kościuszki w Sieniawie przyszła przypadająca na dzień 28 października uroczystość jego imienin. Zbiegła się ona z wysłaniem przez towarzystwo sieniawskie życzeń innemu Tadeuszowi Matusewiczowi, dla którego przygotowano zbiorowe powinszowanie; na nim obok innych dopisał się także Kościuszko:

„Tadeuszowi, kochanemu mnie zawsze, zasyłam powinszowania i łączę życzenia z drugim, zasyłając także najniższy ukłon obojgu". W ciągu tych dni zapewne księżna Izabela Czartoryska nakreśliła na ćwiartce papieru sylwetkę wodza spod Dubienki z podpisem: **„Tadeuszowi Kościuszce, dobry i waleczny, lecz nieszczęśliwy".**

„Fetujące" generała w Sieniawie towarzystwo, wśród którego znajdowali się m. in. pani Mierowa, Seweryn Rzewuski, Józef Szymanowski — towarzyszyło Kościuszce potem w jego triumfalnym pochodzie i przyjęciach we Lwowie, gdzie go goszczono i przyjmowano z jeszcze większym aplauzem. W drodze powrotnej ze Lwowa w Zamościu generał musiał opuścić swych współtowarzyszy podróży: jako człowiek podejrzany politycznie otrzymał rozkaz natychmiastowego opuszczenia granic Austrii. Aby zmylić policję, przybrawszy nazwisko Mr barona Biedy, przez Kraków i Wrocław udał się do Lipska, zdążywszy po drodze pod przybranym nazwiskiem wysłać z tych miast listy do księżny Izabeli. Nie zdołał jednak wbrew pierwotnym planom, zajrzeć jeszcze do Sieniawy.

Mały słownik sztuki polskiej

We wstępie do książki „250 razy o sztuce polskiej" jej autor Przemysław Trzeciak pisze: „Oddaję tę książkę w Wasze ręce z pewnym niepokojem. Pragnąłbym, żebyście mogli znaleźć w niej możliwie bogaty przegląd dziejów sztuki polskiej. Nie jest to jednak wykład, w którym by systematycznie zostały omówione kolejne epoki naszej sztuki, lecz jedynie zbiór notatek o twórcach, zabytkach, zjawiskach i kierunkach artystycznych polskiej plastyki".

Wydaje mi się, że ten niepokój jest nieuzasadniony. Autorowi książki i wydawnictwu należą się słowa gorącego uznania za wydanie tak potrzebnej i dodajmy tak pięknej książki wprowadzającej, zwłaszcza młodego czytelnika, w elementarne pojęcia i zjawiska z historii sztuki polskiej. Publikacja, zawierająca 450 reprodukcji i zdjęć, ma charakter słownika lub małej encyklopedii. W 250 hasłach ułożonych alfabetycznie autor zajmuje się dziejami polskiego malarstwa, rzeźby, grafiki i rzemiosła artystycznego. Ukazał sylwetki twórców, omówił wybitne dzieła sztuki, okresy i zjawiska czy wreszcie grupy artystyczne. Nie są to oczywiście informacje wyczerpujące i krytyczne — autor nie wykracza poza granicę łatwego, przystępnego wykładu, stara się być informatorem i przewodnikiem czytelnika nie zorientowanego bliżej w problematyce sztuki. I słusznie, gdyż książka jest przeznaczona przede wszystkim dla starszej młodzieży, która zechce poszerzyć swoje wiadomości z zakresu sztuki, zdobyte w szkole na lekcjach wychowania plastycznego. Dlatego powinna znaleźć się w bibliotekach szkolnych i w księgozbiorach domowych uczniów, gdyż wielokrotnie będzie im pomagać w pracy.

Dobrze się stało, iż Przemysław Trzeciak dużo miejsca poświęcił sztuce współczesnej, która, jak wyznaje, cieszy się jego osobistą sympatią, gdyż budzi ona najwięcej kontrowersyjnych sądów u przeciętnego odbiorcy i stanowi przedmiot największego zainteresowania. Jasność i komunikatywność informacji autora z zakresu sztuki najnowszej znakomicie ułatwi czytelnikom zrozumienie spraw teoretycznych i warsztatowych współczesnego malarstwa czy rzeźby.

Należy także z uznaniem podkreślić, iż w książce sporo miejsca poświęcono rzemiosłu artystycznemu zbyt mało dotąd docenianemu w publikacjach popularnych.

Album opatrzono starannie w słowniczek mniej znanych terminów, w bibliografię, skorowidz rzeczowy i chronologiczny oraz indeks nazwisk artystów. To bardzo ułatwia korzystanie z książki i to należy zapisać na dobro „Naszej Księgarni", która znakomicie pod względem edytorskim „250 razy o sztuce" wydała. Dość wysoki nakład i niezbyt wygórowana cena umożliwią młodzieży dostęp do tego pożytecznego wydawnictwa.

J. G.

Przemysław Trzeciak: „250 razy o sztuce polskiej". Nasza Księgarnia, W-wa 1967.

ROMAN TUREK

LIKWIDACJA

Akcję planowano od wielu miesięcy. Zbierała się na narady komenda konspiracji rejonowej, naciskała w coraz to częściej nadsyłanych rozkazach Komenda Okręgowa.

„Zlikwidować, nie dającą ludności spać zmorę już jak najwcześniej, zanim nie będzie za późno", żądano wyraźnie.

Z niewielkiej ilości „Volksdeutschów" na terenie miasta Łańcuta, dwie te osiemnastoletnie smarkule, były najbardziej groźne; myszkując po ulicach i placach, wciskając się w każde środowisko, mogły sprowadzić na mieszkańców niesłychane nieszczęścia i poczynić nie dające się powetować szkody. Bagatelizowano, schodząc mu jednakże z drogi starego durnia Krauza, który volkslistę podpisał wkrótce po zajęciu miasta przez Niemców, sądząc, że stanie się przez to obiektem podziwu i zazdrości wśród znajomych. Widząc się odizolowanym od najbliższych swych krewnych, okupantowi też służyć tu jak tego wymagał od niego nie chciał czy nie potrafił, traktowany przez żandarmerię nie lepiej od przeciętnego mieszkańca pojął, iż głupstwo, jakie pozwolił sobie palnąć, skazało go na życie w pojedynkę, pogardzanego przez wszystkich niby pies parszywy. Skończył marnie. Gorszy od niego i można by rzec bardzo niebezpieczny był nie mający skrupułów i litości sprzedawczyk Sarzyński, emeryt kolejowy. Mimo urządzanych na niego polowań, zawsze zdołał się wyśliznąć, aż zniknął z terenu miasta wraz z uciekającymi Niemcami. Wysługującego się żandarmerii Żyda Berka z Białobrzegów, przebrani w odzież cywilną, zastrzelili sami Niemcy. Chuligana i konfidenta gestapo, Śliwkę, wykończyła konspiracja. Zdawało się mieszkańcom Łańcuta, że odetchną nareszcie spokojnie, nikt już o ich najdrobniejszych sprawach żandarmerii donosić nie będzie, gdy ni stąd ni zowąd jeden z obywateli o brzmiącym z niemiecka nazwisku, otrzymał z rąk okupanta koncesję na prowadzenie wyszynku i otworzył w pobliżu rynku niewielką melinę, w której bez przerwy prawie przesiadywali policjanci granatowi i żandarmi hitlerowscy.

Właściciel nowo otwartej knajpy, restaurator nowicjusz, człowiek pod pięćdziesiątkę, z trudnością radził sobie z obsługiwaniem gości, trudno zatem dziwić się, iż wziął sobie do pomocy, pętającego się w domu nieroba, córkę-podlotka. Dziewczę to było chude, płaskie, nieładne i nieśmiałe i mimo ukończonych lat siedemnastu oraz sześciu klas szkoły powszechnej w mieście, zdawało się, że do trzech zliczyć nie potrafi. Okazało się jednak, że jak zwykle w takich wypadkach, pozory mylą. Postawiony za bufetem podlotek błysnął talentem doskonałej kelnerki, dla rozmiłowanego w odurzających napojach ojca skarb niezastąpiony. Nieśmiałe dotąd dziewczę przeobraziło się w bezczelną kurtyzanę, gotową nie tylko podawać do stołu trunki i zakąski, ale i ciążącą jej cnotę przehandlować za jaką bądź cenę, byle jak najwcześniej. Interes prosperował coraz lepiej, szczęśliwy ojciec coraz częściej przepadał za kontuarem bufetu, gdzie spokojny o losy restauracji i izb gościnnych, pociągnąwszy parę głębszych łyków, podrzemywał. Od czasu, jak prowadzenie restauracji w ręce swoje córka przejęła, ojciec wziął na siebie li tylko obowiązki dostarczania napojów i zaopatrywanie spiżarni w wyborne jadło, którego gdzie jak gdzie, tu jednak braknąć nie mogło. Gwarno było do późna w noc w dobrze zaopatrywanym we wszystko, co podniebienie drażni i brzuch okupacyjnego żarłoka nasycić mogło, rzadki to był bowiem wypadek, aby lokal ten któryś z Polaków odwiedził. „Nur fur Deutsche" — „tylko dla Niemców" — ostrzegawczy napis może nie tyle ze strachu, ile wstrętu progu tej meliny przekraczać nie dozwalał. Lokal z przeznaczenia już za wyłącznie męski uważany być powinien, zachodzili tu jednak Niemcy ze swoimi freulinkami z zawodu koryntiankami, zdarzało się, że i poniektóra z wesołych Polek w zamkniętym samochodzie dla niepoznaki dawała się tu przywieźć i noc na bachanaliach rozkosznie spędzić. Nie byłże to dla niedowarzonej wiekiem kelnerki przykład naśladowania godny? W jej żyłach też krew gorąca płynęła, serce miłości było spragnione nie mniej od tych, co uprawiać ją mogły szeroko, pozwalając sobie nie na jednego kochanka, ale dziesięciu naraz w przepaści swych serc z łatwością zmieściły. Brak urody, dziewczęcego wdzięku i właściwej kobietom budowy ciała powodował, że żaden z miejscowych kawalerów ani na nią nie spojrzał. Młodym, a zatem świeżym jej ciałem zainteresował się jeden z funkcjonujących tu żandarmów i ten w niedługi czas we wszelkie arkana miłosne stęsknioną za nimi, wtajemniczył. Kochanek zazdrosny nie był, skoro więc wypadła mu służba przyprowadzał do narzeczonej mającego wolne w tym czasie godziny kolegę, by spragnionej pieszczot dziewusze wieczór jak mógł osładzał. W niedługi czas stała się ona kochanką wszystkich żandarmów w Łańcucie.

Jak na jedną osobę podobnie zdublowane obowiązki, prowadzącej restaurację i uprawiającej tak szeroko miłość, zdawały się dziewczynie za ciężkie. Dobrała sobie więc do pomocy (w restauracji na razie) jak dwie krople wody do siebie podobną koleżankę. Było ich teraz dwie, równego sobie wieku, wykształcenia, inteligencji i sprytu sąsiadki, mieszkające na jednej i tejże samej ulicy.

I przyszedł czas, że miała żandarmeria hitlerowska w Łańcucie dwie konfidentki, pracujące tak gorliwie i z oddaniem, iż własną rodzinę gotowe były zadenuncjować, gdyby okazja po temu odpowiednia się nadarzyła. Po mieszkańcach miasta poszedł posiew niepokoju i strachu. Nie był pewny nikt z młodych ludzi czy przypomniawszy sobie, któraś z dwóch sprzedawczyń o jego obecności, adresu jego żandarmerii nie poda co najmniej celem wysłania go na przymusowe roboty w głąb Niemiec.- Nie uszła ich przenikliwych oczu żadna gromadka rozmawiających na uboczu, jaką strawę któraś z gospodyń gotowała dla rodziny, o wszystkim żandarmeria była poinformowana. Nie tu miejsce zresztą na wyszczególnienie najrozmaitszych wsyp, które na skutek donosów dwu tych zdrajczyń na mieszkańców Łańcuta spadły.

Po upływie kilku miesięcy, obydwie, lepsze, jak ich nazwano, panny, szwargotały po niemiecku, porzuciły też niedługo potem, zabierający im wiele cennego czasu zawód kelnerek, poświęcają się wyłącznie pracy wywiadowczej, urozmaiconej romansem z coraz to innym żandarmem łańcuckiej czy którejś z sąsiednich miast komendy. Wysyłane im po kilkakroć razy upomnienia, następnie pogróżki, przynosiły wręcz odwrotny skutek; pisma przechodziły do rąk gestapowców, inwigilowano po nich podejrzanych o autorstwo młodych ludzi, porównując charakter pisma.

...Zlikwidować — brzmiał wyraźny rozkaz w nadesłanym piśmie Komendy Okręgowej AK.

Zadanie nie należało do łatwych. Zdrajczynie zainstalowały się w budynku żandarmerii na stałe. z zapadnięciem zmroku ukazywały się zwykle w towarzystwie uzbrojonych po zęby gestapowców. Persony ich nie były znowu tak znaczne, aby ryzykować dla usunięcia ich życie młodych patriotów, czy narażać się hitlerowcom, którzy pałając zemstą posunąć się mogli do pacyfikacji spokojnych rodzin mieszkańców miasta.

Konspiracyjny kontrwywiad wywiązał się z zadania jak najlepiej. Śledząc dni kilka, ustalił, że jedna z poszukiwanych panienek w towarzystwie olbrzymiego żandarma, udaje się co dnia wieczorem o jednym i tym samym mniej więcej czasie na spacer i w cieniu wysokich sosen, z gęstym podszyciem dzikiego bzu i tarniny, pod górką przy szosie, w wysłanym sobie gnieździe, pewien czas przebywa.

Słoneczne i ciepłe były dni kwietniowe 1943 roku. Do orzącego przyległy do bażantarni łan ziemi traktorzysty, podszedł młody człowiek, zatrzymał go podniesieniem ręki, po czym spytał:

— O której rano zaczynasz pracę?

— No, tak piąta, szósta, to zależy — odpowiedział traktorzysta.

— Mnie i więcej jeszcze ludziom zależy na tym, abyś jutro przed świtem już orał, rozumiesz? — rzekł z naciskiem młody człowiek.

— Czemu nie, mogę zacząć orkę do światła nawet, jeżeli trzeba. Mam akord — zgodził się traktorzysta.

—No, nie zapomnij tylko — zagroził mu młody człowiek i odwróciwszy się, poszedł swoją drogą.

Pociągając z zachodu lekki wiaterek poruszał konarami wysokich sosen, powodując szmer, jak gdyby duch unoszący się w podniebnych przestworzach, rozbijał powietrze skrzydłami. Omiatając smugami świateł, przylegające z obu stron szosy łany pól, pędziły od strony „zameczku" trzy, jeden za drugim samochody osobowe. Po krótkiej chwili śmigała ich śladem ciężarówka. Zsunęły się na hamulcach ze stromej, powyginanej

góry Trześnik i zniknęły za zakrętem u spadku góry. Po jasnym oświetleniu terenu reflektorami samochodów, ciemności zapanowały egipskie. W czasie tym dał się słyszeć od ulicy Okopowej żałosny bek kozy. Mieszkająca tu biedota podmiejska hodowała tych mlekodajnych, lada czym żywiących się stworzeń, po kilka. Nie biorąc tego pod uwagę „Kruk" szepnął:

— To hasło dla nas. Baczność, idą — rzekł cicho i wysunąwszy się spod krzaka dzikiego bzu, przebiegł chyłkiem na drugą stronę szosy, przelazł rów i zatrzymał się, stanąwszy pod drzewem.

Szwargocąc półgłosem w języku niemieckim, pięły się pod górę sylwetki dwojga ludzi. Przytuleni do siebie, szli powoli, cień rozłożystych drzew bardziej jeszcze powiększał mrok nocy. Sylwetka wysokiego mężczyzny oderwała się od grubego pnia wiekowej topoli i zataczając się z prawej strony na lewą, waliła zygzakiem wprost na idącą pod górę parę kochanków.

...Pijak — pomyślał zapewne, tulący do swego boku kobietę żandarm, zdenerwowany jednak bezczelnym zachowaniem się idącego, przerzucił coś z prawego ramienia na lewe, odepchnął od siebie dzierżącą go pod rękę kobietę i, sięgając nerwowym ruchem do kabury, chrapliwym głosem krzyknął:

— Halt... wer da?

Zataczający się dotąd przechodzień, wyprostował się nagle, trzy, jeden po drugim trzaski rozległy się w powietrzu. Żandarm zakołysał sobą, pochylił się i odwróciwszy zbiegać zaczął z góry, on na odmianę zygzakiem teraz, fucząc po drodze jak źle nożem przekłuty wieprz w szlachtuzie.

Dopadł go w kilku krokach „Kruk" i sypnąwszy w niego resztę pozostałych w magazynku nabojów, rozciągnął go na trawie. Żandarm legł, nie wydając jęku.

Towarzysząca gestapowcowi kobieta, zatrzymała się jak słup soli przez chwilę, ochłonęła jednak w parę sekund i odwróciwszy się, mknęła z góry jak szalona, wrzeszcząc w przerażeniu, przejmującym okropnie głosem. Długonogi „Kruk" dopadł ją w kilku metrach i trzema strzałami z browninga uciszył na zawsze.

Zbiegli się teraz, stojący na czatach towarzysze, ogołocili kieszenie żandarma ze wszystkiego co posiadał i złożywszy ciała obydwojga w przyniesiony przez Niemca koc, ponieśli je na przyległy do bażantarni łan ornej ziemi. Rozpatrzywszy się w terenie, wykopali w bruździe na miarę wielkości nieboszczyków około metr głęboki dół i otulone w koc, ściśnięte dwa ciała w świeżym ułożyli grobie.

Daleko jeszcze było do brzasku dnia, gdy świecąc sobie latarniami bruzdy przed kołem, orał traktorzysta łan przy bażantarni. Równo już przywalony srogimi skibami ziemi zniknął ślad świeżo naruszonej ziemi, grobu nieznanego żandarma i znanej wszystkim zdrajczyni. Ciągniona przez traktor za pługami ciężka, żelazna brona, rozbiła skiby, wyrównała rolę, przygotowując ją pod zasiew pożytecznego ziarna. Rano, o świtaniu deszcz lunął rzęsisty.

Po południu tego dnia dopiero, komenda żandarmerii postawiona została w stan alarmowy. Podział się gdzieś jeden z najbardziej gorliwych gestapowców. Ruszyły węsząc, sprowadzone z Rzeszowa i Jarosławia najcelniejsze psy zwiadowcze. Dobiegły aż pod górę Trześnik, tu jednak straciły ślad, rozbiegły się, kręcąc i szukając w dalekiej od miejsca wczorajszych wydarzeń okolicy. Przegrzebano specjalnymi grabiami żelaznymi cały staw w rafinerii spirytusu. Wszystko bez skutku. Na nic też się zdały ogłoszone apele do mieszkańców, obiecujące sowitą nagrodę za wskazanie zaginionego żywym czy umarłym. Jak wieść niosła, zaginiony żandarm uznany został później za dezertera, który uprzykrzywszy sobie służbę w zaszczytnych szeregach, porzucił je haniebnie i znikł we wrogim kraju jak kamfora.

Skończyło się donosicielstwo w Łańcucie. Zapił się i zlikwidował niesławną melinę koncesjonowany restaurator. W końcu zmarł, nie doczekawszy się powrotu niewdzięcznej córki. Wkrótce potem wyniosła się i nie wróciła do Łańcuta już więcej, serdeczna przyjaciółka zaginionej, podobna jej zdrajczyni i konfidentka gestapo. Rozkaz „likwidacja" wykonany został bez zarzutu.

U naszych przyjaciół

100 LAT SŁOWENSKIEGO TOWARZYSTWA DRAMATYCZNEGO

W tym roku Słowenia, jedna z republik Jugosławii, obchodzi niezwykły jubileusz, setną rocznicę założenia Słoweńskiego Towarzystwa Dramatycznego, które zapoczątkowało życie teatralne w Słowenii i odegrało ważną rolę w historii kultury narodów słowiańskich. Jubileusz nierozerwalnie wiąże się z nazwiskiem wybitnego słoweńskiego pisarza i krytyka Frana Lewstika, który Towarzystwo założył i kierował nim. Celem Towarzystwa było m. in. wystawianie na scenie słoweńskich utworów dramatycznych i założenie szkoły dramatycznej. Do jego założenia nie doszło przypadkowo ani łatwo, musiano pokonać wiele trudności. Pierwsze próby stworzenia słoweńskiego życia teatralnego sięgają XVIII wieku i wiążą się z żywym budzeniem świadomości narodowej. Warto wymienić wystawioną w 1789 roku przez słoweńskich intelektualistów, jako amatorów, pierwszą literacką sztukę w j. słoweńskim pt. „Zupanova Micka" Linharta. W następnym roku ze względu na ogrom trudności zaniechano wystawiania tego utworu. Wiele prób zorganizowania życia teatralnego w Słowenii podjął w XIX wieku najwybitniejszy poeta słoweński France Preszeren, który wraz z poetami Smole i Czopem domagał się dla Słoweńców niepodległości i samostanowienia narodowego oraz stworzenia słoweńskiej kultury i języka. Krąg F. Preszerena był w pierwszej połowie XIX wieku ośrodkiem słoweńskiego ruchu narodowego. Źródło niepowodzeń prób niewątpliwie tkwi w słoweńskiej strukturze społecznej. U Słoweńców prawie przez pięćdziesiąt lat był znikomy procent świadomej inteligencji mieszczańskiej, zdolnej utrzymać organizm, jakim jest teatr narodowy. Dopiero założone w 1867 roku Towarzystwo Dramatyczne mogło dać początek stałemu życiu teatralnemu, mimo swych skromnych początków tak pod względem działalności, jak i aktorskiej i literackiej jakości. Obsadę aktorską stanowili w większości amatorzy, a tylko niektórzy byli zawodowymi aktorami. Przedstawienia odbywały się w Lublanie wśród bardzo licznej publiczności. Towarzystwo od samego początku rozpoczęło trudną i nierówną walkę przeciw niemiecko-austriackiej władzy o prawo języka słoweńskiego na scenie. Walka trwała przez pełnych czterdzieści lat i doprowadziła do uprawnienia Towarzystwa z niemieckim teatrem w Lublanie, a w końcu — do przejęcia go i założenia nowego, własnego teatru w 1908 roku, stanowiącego własność narodu. Słoweński Teatr Narodowy stopniowo kształtował swe oblicze i przekształcił się przed I wojną światową w zawodową instytucję kulturalną. Dwaj wybitni słoweńscy literaci, Iwan Cankar i Oton Zupanczić nadali Teatrowi specyficzną treść i specyficzny kształt językowy. I. Cankar swoimi utworami dramatycznymi stworzył nowy dramat słoweński i dzięki niemu repertuar teatralny miał charakter rodzimy. O. Zupanczić okazał się twórcą słoweńskiego języka scenicznego i przełożył wiele utworów ze światowej literatury. Po I wojnie światowej Słoweński Teatr Narodowy w Lublanie dorównał poziomowi szybko rozwijających się teatrów europejskich.

Historia narodzin Słoweńskiego Teatru jest żywą i plastyczną ilustracją historii tego narodu.

HENRYK RÓG

700 tys. widzów na 700 spektaklach

W Moskiewskim Teatrze Satyry odbyło się 700 przedstawienie „Pluskwy" Majakowskiego. Sztukę tę wznowili po wieloletniej przerwie W. Płuczek i S Jutkiewicz w dniu 1 maja 1955 r. „Pluskwa" grana była na scenach wielu miast Związku Radzieckiego. W sumie przedstawienie obejrzało przeszło 700 tys. widzów. Zespół teatralny prezentował „Pluskwę" również za granicą, m. in. na Międzynarodowym Festiwalu w Paryżu.

Cecylia Błońska

JUŻ NIGDY ALBERTYNA NIE ZROBI SKOKU

„...Chcę być pisarzem, wszelka inna działalność jest dla mnie nie do przyjęcia"

Młoda autorka Albertyna Sarrazin, która jak meteor rozbłysła na tle literackiego środowiska francuskiego, rozpoczynając swą niezwykłą karierę pisarską oświadczyła: „Byłam złodziejką, chcę być pisarzem, wszelka inna działalność jest dla mnie nie do przyjęcia".

Te lapidarne słowa w całości odpowiadają prawdzie. Jako dziecko nieznanych rodziców, od dzieciństwa nieomal wkroczyła na drogę przestępstwa. Prostytucja, kradzieże, pobyt w domu poprawczym, kary odsiadywane w więzieniu — oto elementy biograficzne, które śmiało, bez osłonek, wprowadzi do swych powieści.

W więzieniu powstają dwie pierwsze jej powieściowe pozycje: LA CAVALE i L'ASTRAGALE (Skok). Opuściwszy więzienie wydaje trzecią książkę LA TRAVERSIERE.

„SKOK", w przekładzie Czesława i Mirosława Żuławskich, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, ukazał się u nas we wrześniu br. Jego nakład we Francji osiągnął 100 tys. egzemplarzy, co jest wymownym dowodem popularności Albertyny Sarrazin.

Powieść rozpoczyna dramatyczna relacja o ucieczce Albertyny z więzienia, o niebezpiecznym skoku z wysokiego muru w przepaść otaczającą więzienny obiekt. O tym, jak ze złamaną nogą doczołgała się do szosy, gdzie pomocy udzielił jej Julian, również człowiek pozostający w niezgodzie z prawem, włamywacz z fantazją, później wielka miłość Albertyny. Ze zgruchotaną nogą uciekinierka znajduje schronienie w austerii w prowincjonalnym francuskim miasteczku, w środowisku, które nie robi wielkich ceregieli, gdy chodzi o to, by za pochodzące z rabunku pieniądze wyświadczyć Julianowi tę usługę, kolidującą z prawem.

Później Albertyna jest w Paryżu: część opowieści zajmują pełne realizmu zapiski z jej wędrówek po ulicach, bulwarach, z jej przelotnych spotkań i romansów z przygodnie napotykanymi mężczyznami, których okrada skrzętnie gromadząc pieniądze na przyszłość, na ustabilizowane solidne życie z Julianem.

Oboje pozbawieni są skrupułów, on nie jest bynajmniej zazdrosny o mężczyzn, z którymi zadaje się Albertyna, aczkolwiek kocha ją prawdziwie. W niej obudzi się w końcu zazdrość, prawdziwie kobiece dążenie do tego, by być jego jedyną miłością. Umie przekazać czytelnikowi narodziny tego nowego dla niej uczucia. Za gotówkę ukradzioną poczciwemu kasjerowi paryskiemu, który przyjął ją do swego mieszkania, gdy ukochany odsiadywał kolejny wyrok, kupuje Julianowi samochód. Ten wyznaje jej, że w życiu jego istnieje jeszcze inna kobieta, stateczna, pracująca, z mieszkaniem, kochająca go bez pamięci, u której szukał czasem wytchnienia i spokojnego kąta, ukrywając się przed policją. Stoją nad brzegiem oceanu, pod szarym niebem pokrytym skłębionymi chmurami. Sarrazin pisze: „Samochód jest wyspą pośród jakiejś innej planety, prawie takiej samej jak ta z rana, otoczonej tym samym oceanem z tą samą nawałnicą piaszczystego wiatru, która trzeszcząc smaga karoserię. Płaczę w ramionach Juliana, mała nawałnica w wielkiej nawałnicy, równie słona, równie beznadziejna jak morze — szlocham bez opamiętania... Myślałam, że jestem dostatecznie przygotowana, oszlifowana, opancerzona; i choć spodziewałam się tego co miałam usłyszeć, nie przypuszczałam, że realizm tych słów może być równie bolesny, zaskakujący, miażdżący i nie przewidziany jak wystrzał z flinty".

Uderza piękny język autorki w scenach lirycznych. Frapują opisy Paryża, innego niż ten, jaki zwykły ukazywać przeciętne filmy.

Znajomość przestępczego świata, dogłębna, by tak to określić, powoduje, że ta na wskroś współczesna powieść jest jakąś nicią związana ze słynnymi kiedyś „Tajemnicami Paryża" Eugeniusza Sue. Pełne tajemnic są też aktualne losy Juliana. Niedawno prasa podała, że mąż Albertyny został ranny, dźgnięto go nożem, odmówił jakichkolwiek zeznań na ten temat. Był w szpitalu, leczono go długo, nie zdołano jednak ujawnić, czy był to przypadek, czy też padł ofiarą porachunków w tym świecie, gdzie nadmierna wylewność wymaga niezwłocznej kary.

O Albertynie można śmiało powiedzieć, że nigdy nie zrobi już żadnego skoku. Że nie napisze już żadnej powieści. Po wielu operacjach, którym poddawano jej nogę strzaskaną podczas pamiętnej ucieczki z więzienia, w lipcu 1967 roku 29-letnia kobieta zmarła po zabiegu operacyjnym. Nie doczekała się więc polskiego przekładu L'ASTAGALE, tłumaczonego już na kilkanaście języków świata.

Lektura SKOKU potwierdza, iż była fenomenem; historia literatury zna wiele wypadków, gdy autor chcąc poznać świat przestępczy dobrowolnie spędza jakiś czas w więzieniu, popełnia nawet pewne wykroczenie, by „legalnie" znaleźć się w tym środowisku. W naszej literaturze międzywojennej mieliśmy również autorów opisujących swoje wystąpienia przeciwko prawu, kary jakie za nie ponosili, perypetie więziennego życia.

Lecz Sarrazin, która twierdziła, że wszelka inna działalność poza pisarstwem jest dla niej nie do przyjęcia, miała czytelnikowi do powiedzenia coś niepomiernie więcej, aniżeli f a c h o w ą relację z lat spędzonych w celi, z profesjonalnych wędrówek po uliczkach, bistrach i godzinowych hotelach Paryża.

Wybaczą chyba zwolennicy prozy Francoise Sagan, gdy powiem, że ta młoda eks-więźniarka wracająca na łono ustabilizowanego społeczeństwa dzięki pieniądzom zdobytym swą pierwszą książką, ujawniła talent niepomiernie większy, spojrzenie bardziej drapieżne, pasjonującą zdolność odmalowania ludzkich uczuć, namiętności, radości i smutków, wobec której bledną l e t n i e przeżycia bohaterów popularnej Saganki.

Sławiąc ongiś kruche uroki „Rozkwitających dziewcząt" Marcel Proust rozpaczał nad ZAGINIONĄ ALBERTYNĄ. Albertyna Sarrazin młodziutka gwiazda francuskiej literatury, która tak szybko zagasła, w niczym nie jest podobna do wyszukanych proustowskich bohaterek.

Nie ukradnie już nigdy. Nie będzie przyzywać Juliana w ciężkiej potrzebie. Nie zdoła go pocieszyć, jak zrobiła to kończąc swój „SKOK", gdy mieli już naprawdę rozpocząć nowe życie, a ją po latach poszukiwań odnalazł wysłannik więzienia. „No, nie martw się — napisała. — Odnajdziemy się na platformie pełnej światła. Jedno z nas jest znowu na przedostatnim przystanku".

Niedługo potem osiągnęła swój o s t a t n i przystanek.

Teatr Narodowy 1765-1794

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazała się cenna publikacja pt. „Teatr Narodowy 1765—1794", zawierająca materiały do dziejów polskiej sceny w Warszawie w tym okresie.

Oparta na źródłowych dokumentach książka obejmuje teorię dramatu i początki krytyki teatralnej; ukazuje życie teatralne w Polsce XVIII wieku, odbite w w utworach literackich, gazetach oraz gazetkach pisanych, wspomnieniach i listach (m. in. relacje i wspomnienia o W. Bogusławskim do ostatnich lat jego życia); zapoznaje z wewnętrzną organizacją ówczesnego teatru, sytuacją społeczną aktorów, stosunkami i konfliktami między aktorami a dyrekcją i publicznością.

Kronika najważniejszych dat, wydarzeń teatralnych i dramaturgicznych w Polsce i Europie w XVIII wieku, rozdział poświęcony budynkom teatralnym, dekoracjom i kostiumom oraz ilustracje dopełniają całości tego interesującego wydawnictwa.

Znalazły się w tych 7 dniach co najmniej trzy poświęcone en gros problematyce Wielkiego Października. Oglądaliśmy więc programy — giganty jak choćby wtorkową transmisję z defilady na Placu Czerwonym i wtorkowy „Świąteczny Płomyk" — czyli wieczór galowy kultury radzieckiej. Do tych gigantów nie sposób nie zaliczyć także naszej centralnej akademii i polskiego koncertu uroczystego, który był jej przedłużeniem.

Jednakże oprócz gigantów, do których zresztą powrócę, znalazły się i mniejsze, skromniejsze rocznicowe programy, a dwa z nich warto byłoby omówić jako przykład dobrych pomysłów i... nie najlepszego wykonania. Myślę o teleturnieju pn. „50 lat kinematografii radzieckiej" i gawędzie „W oczach pisarzy polskich", którą podjęło pięciu autorów o znanych nazwiskach.

Pierwszy z nich — teleturniej — był popisem wiedzy o filmie sześciu młodych ludzi i zupełnie nie dziw, że dwie główne nagrody — to właśnie wycieczki do ZSRR, powiększone jeszcze o nagrody rzeczowe. Teleturniej prowadził Serafinowicz oraz dwaj spece od zgaduj-zgaduli — Przybylski wraz z Rokitą i prowadzili bez specjalnych niespodzianek, poprawnie. Poza emocjami czysto teleturniejowymi, a więc owymi „zgadnie — nie zgadnie" przygotowano jeszcze fragmenty filmów. I tu właśnie zaczynają się moje pretensje. Wyobrażałam sobie tę imprezę, szczególnie przecie uroczystą i atrakcyjną w samym założeniu, jako przedsięwzięcie właśnie bardziej atrakcyjne. I właśnie w owych partiach filmowych, które wzorem znakomitych fragmentów z cyklu „Starego kina" — zawsze celnie dobieranych, zawsze ilustrujących omawiany film najlepszą jego cząstką — w teleturnieju o kinematografii radzieckiej rozdrobnione do migawkowych niemal ujęć żadną retrospektywą historii filmu radzieckiego być nie mogły. W ten sposób zaprzepaściło się szanse telewizyjnej strony widowiska. Gdyby bowiem w miejsce 12 migawek przyszło 6 fragmentów; względnie — gdyby ów uroczysty teleturniej trwał o 30 minut dłużej (do tego zaś miał wszelkie prawa z racji swej wyjątkowości) byłby imprezą o wiele pożyteczniejszą. I ostatnie już „gdyby" — to jego część rozrywkowa czyli „Polanie" i piątka solistów tak niefortunna, tak żenująco słaba, że zaraz przypominał się Jerzy Waldorff, kiedy przestrzegał młode śpiewaczki przed połykaniem mikrofonu, bo to też słychać i do tego nieładnie...

Drugi program, jak wspominałam, nosił tytuł „W oczach pisarzy polskich" i był znowu swoistą retrospektywą wspomnień polskich podróżników z ich licznych wędrówek do najróżnorodniejszych zakątków Związku Radzieckiego. Rzecz pomyślana jako gawęda — gawędą jednak nie była z tej prostej przyczyny, że prowadzący program Roman Samsel udzielał głosu miast rozmawiać, że wszystko to było zbyt sztywne, referatowo wygłoszone. Trzebaż to jednak było umieć podać. Stworzyć nastrój większej intymności, atmosferę rozmów przy kominku. I tu przy puszczam, że właśnie inicjator telewizyjnych kominkowych rozmów — niezastąpiony jako gospodarz — Kazimierz Rudzki byłby się przydał niepomiernie. Nie można mieć żadnych pretensji do świetnego pisarza, że nie jest jednocześnie świetnym gawędziarzem; można mieć jednak pretensje do realizatora programu, że zamyślając gawędę nie szuka świetnych pisarzy i zarazem świetnych gawędziarzy. W niedzielnych refleksjach błysnął tymi zaletami chyba tylko Maciej Patkowski, bo jakże on porywająco odsłonił kulisy Wielkiego Baletu w Leningradzie! Reszta wniosła swoimi opowieściami materiał bogaty, fakty arcyciekawe, lecz bez przerwy wyobrażałam sobie to raczej napisane. Przeto, nieusatysfakcjonowana słuchaniem, zaczekam lepiej na radzieckie reportaże Kabatca, Minkowskiego, Lenarta, Patkowskiego i Samsela, które lada dzień ukażą się w zbiorze przygotowywanym przez „Iskry".

Wracając jednak do programów — gigantów trzeba tu zapisać owo niezapomniane wrażenie defilady wojskowej, transmitowane w kilku godzinach rannych 7 listopada i będących demonstracją obronności Kraju Rad; demonstracją 50-letniej historii Armii Czerwonej. Było to pierwsze tego typu widowisko, jakie za pośrednictwem telewizji, a więc o b r a z u mógł oglądać cały świat. Odpowiednikiem jego była wieczorna uroczystość przeznaczona dla widzów Interwizji — czyli przegląd możliwości artystycznych krajów radzieckich, gdzie egzotyka mieszała się z klasyką światową, gdzie młodzi wychowankowie wileńskiej szkoły muzycznej byli równie porywający co najznakomitsze nazwiska, powszechnie znane.

I znalazła się jeszcze w tych trzech dniach zupełnie niecodzienna „Eureka", przygotowywana przez pełne 2 lata: „Eureka" — przegląd radzieckich osiągnięć naukowych; „Eureka", której patronuje okrzyk greckiego filozofa „Znalazłem"; „Eureka" pokazująca nam technikę dla której opisu trzeba byłoby chyba nowego Jules Verne'a lat sześćdziesiątych, bo wyobraźnia francuskiego staruszka z jego „Osiemdziesięcioma dniami dookoła świata" wzruszałaby dziś bezradnością...

KRYSTYNA

KSIĄŻKI

Księga Polaków uczestników Rewolucji Październikowej 1917—1920. Biografie. KiW, s. 992, cena zł 120.

Praca zbiorowa, przedstawiająca w porządku alfabetycznym biografie Polaków uczestniczących w wydarzeniach Wielkiego Października i wojny domowej w ZSRR. Encyklopedyczne informacje uzupełnia bogaty materiał ilustracyjny.

Aleksander Manusiewicz: Polacy w Rewolucji Październikowej. KiW, s.422, cena zł 40.

Tematem publikacji jest życie polityczne Polaków przebywających w Rosji podczas Rewolucji Październikowej w okresie luty — październik 1917 r. Autor charakteryzuje polskie organizacje polityczne działające wtedy w Rosji oraz wpływ internacjonalistów polskich na rozwój wypadków rewolucyjnych w tym kraju.

Stanisław Kołodziej: Wspomnienia (1915—1945). KiW, s. 249, cena zł 17.

Są to autobiograficzne wspomnienia, ukazujące działalność autora w organizacjach młodzieżowych, KPP, a później PPR. Wiele wiadomości o działaczach partii i stosunkach przedwojennych i okupacyjnych. Książka poświęcona towarzyszom walki. Liczne ilustracje.

Andrzej Skowroński: Polska a problem Niemiec. 1945—1965. KiW, s. 312, cena zł 30.

Praca przedstawia w oparciu o oficjalne dokumenty stanowisko rządu polskiego wobec problemu Niemiec w latach powojennych. Chodzi tu przede wszystkim o sprawę granicy polsko-niemieckiej, problem bezpieczeństwa zbiorowego w Europie oraz normalizację stosunków między PRL a NRF.

Eric Tabarly: Samotne zwycięstwo. Przeł. J. Czerwiński. Wyd. Morskie, s. 203, cena zł 20.

Interesująca relacja z przebiegu rejsu nowego typu regat oceanicznych samotnych żeglarzy. Jest to zarazem odpowieść o człowieku o mocnym charakterze, który odnosząc zwycięstwo nad sobą, zwyciężył również w trudnej konkurencji. Książka ciekawa, szczególnie dla interesujących się sportem i turystyką.

Janusz Magnuski: Rycerze pancerni XX wieku. MON, s. 200, cena zł 11.

Jest to książka zawierająca wiadomości o rozwoju broni pancernej. Rodowód czołgu przedstawiony jest tu od początków, aż po czołgi ery atomowej. Liczne rysunki.

Wychowanie estetyczne w pracy kulturalno-oświatowej. CPARA, s. 202, cena zł 30.

Jest to 7 zeszyt Poradnika Pracownika Kulturalno-Oświatowego. Zawiera on materiały dotyczące teorii estetyki, z kolei dotyczące upowszechniania plastyki i kultury filmowej.

Jacek Tomasik, Maria Romowicz: Tańce mieszczan żywieckich. CPARA s. 200, cena zł 45.

Nowy tomik „Biblioteki Repertuarowej" CPARA. Oprócz charakterystyki regionu i opisu tańców zawiera bibliografię oraz wkładkę muzyczną na akordeon i fortepian.

NA NASZYM EKRANIE

ZOSIA

ZADZIWIAJĄCE jak głębokie są związki sztuki radzieckiej z rzeczywistością, z życiem całego społeczeństwa Kraju Rad. Lata całe wędrowała po świecie popularna piosenka „Katiusza", śpiewana podczas ostatniej wojny na wszystkich odcinkach frontu wschodniego, nucona przez partyzantów różnych narodowości. I oto 2 czy 3 lata temu okazało się, że bohaterka tej piosenki istniała naprawdę, była dzielną sanitariuszką, a dziś pracuje jako lekarka. Dokumentalny film o niej wyświetlany był także w naszych kinach.

Kilka dni temu telewidzowie mogli zobaczyć w audycji radzieckiego „Błękitnego płomyka" bohaterów innej piosenki. Napisana dla filmu „Cisza" poświęcona była 18 żołnierzom, którzy broniąc się do ostatka na jednym z bezimiennych wzgórz minionej wojny polegli, ale nie przepuścili wroga. Okazało się, że dwóch z tej osiemnastki nie zginęło wówczas; ranni, przechodzili różne koleje losu, przetrwali jednak wojnę i po latach spotkali się w telewizji, ze łzami wzruszenia słuchając piosenki o sobie.

Z tych samych źródeł co obie te piosenki wywodzi się piękny film młodego radzieckiego reżysera Michała Bogina — „Zosia". Sądzę, że zobaczy w nim siebie wielu dawnych żołnierzy armii niosącej nam wolność w 1944 i 1945 roku, a i w naszym społeczeństwie znajdzie się niemało ludzi, którym przypomni on obrazki z ich własnej, odległej młodości.

Lato 1944 roku. Przerzedzony w walkach oddział radziecki zatrzymuje się na krótki odpoczynek w polskiej wiosce. Dwaj młodziutcy oficerowie, z tych, co to poszli na front, mając siedemnaście wiosen, w wieku zaś lat 19 dowodzili kompaniami i batalionami, zakochują się w polskiej dziewczynie. Zakochują - to może niezbyt precyzyjne określenie tego, co budzi się w tych chłopcach, po wielu dniach pożogi, walk i krwi, odnajdujących nagle pokojową ciszę, o której dawno już zapomnieli, stających wobec nieznanych im dotąd problemów i uczuć, wobec nowych, złożonych przeżyć.

Ci dwaj, mimo swej młodości, doświadczeni frontowi żołnierze mają odmienne usposobienia; jeden jest zadziorny, bezpośredni, a nawet czasem bezceremonialny, drugi — delikatny, nieśmiały i niezdecydowany. Ich doświadczenie życiowe to doświadczenie wojny, poza nią niewiele zdążyli w życiu poznać, są jeszcze niemal dziećmi stawiającymi niezgrabnie pierwsze kroki w skomplikowanym gąszczu nowych doświadczeń.

Niełatwy los przypadł im w udziale. Kiedy Michał w przerwie między dwoma bojami wypełnia formularze przeznaczone dla rodzin poległych żołnierzy, zdajemy sobie sprawę z tego, jaki ciężar na nim spoczywa. I tym bardziej wzrusza nas ten młodziutki oficer, jego życiowe rozterki i budzące się nieśmiałe uczucie.

Wojna i pokojowe życie wsi, męstwo i nieśmiałość, okrucieństwo i łagodność — na takich przeciwieństwach oparł swój film Bogin i choć — wychodząc z czysto teoretycznych kryteriów — można mu niejedno zarzucić — szkicowość, pewną rozwlekłość, niedostatek scenariuszowego tworzywa, to przecież wszystkie te wady wyrównuje podjęcie takiego właśnie tematu, potępienie zjawisk przeciwnych ludzkiej naturze, protest przeciwko niszczącemu działaniu wojny.

Protest ten wyrażony jest w specyficznej formie. Film jest bowiem poetycki, liryczny (zrealizowano go według opowiadania W. Bogomołowa, autora scenariusza do filmu „Dziecko wojny"), zbudowany na obrazach wewnętrznego świata bohaterów. Reżyser ma pełne zaufanie do widza, pozwala mu dopowiadać sobie pewne szczegóły filmu, rozmyślać i przeżywać razem z jego bohaterami. Są to niewątpliwe zalety utworu, zapowiadającego interesującego reżysera, filmu należącego do niemal dokumentalnych pozycji o minionej wojnie światowej.

Film realistyczne odtwarza atmosferę pierwszych dni oswobodzenia Polski. Początkowa nieufność mieszkańców wsi „do bolszewików" przeradza się szybko w serdeczność i choć nie brakuje różnych spięć, to przecież wkrótce zawiązują się nici wzajemnej sympatii. Dużą zasługę w realistycznym oddaniu ludzi tamtych dni mają aktorzy: Pola Raksa (wyróżniona za tę rolę nagrodą „Sowieckiego Ekranu" na ostatnim festiwalu filmowym w Moskwie) grająca Zosię, Wiesława Mazurkiewicz jako jej matka, Zygmunt Zintel, Barbara Bargiełowska oraz ich radzieccy partnerzy Jurij Kamornyj jako Michał, Mikołaj Mierzlikin jako Wiktor, Georgij Burkow jako Siemionow i inni.

Zdjęcia Jerzego Lipmana. Scenografia Romana Wołyńca.

(sz)

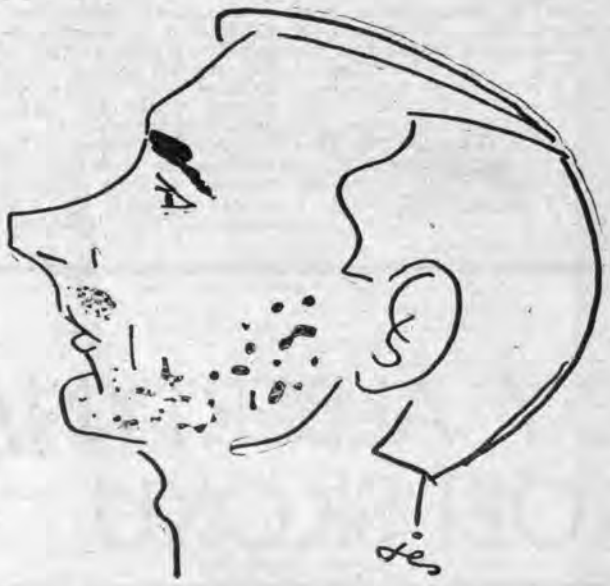

JAN ŻAK — długoletni członek zespołu tanecznego WDK Rzeszów. *Rys. J. SIENKIEWICZ*

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

J.R. — Niestety ten rzeszowski poeta, na którego się Pan powołuje dość złośliwie zażartował. Wiersze, które otrzymaliśmy są bardzo złe i nie rokują żadnych nadziei na jakiekolwiek twórcze sukcesy. Jeśli Pan pisze: „I weszła ma miła do domu // By rozgrzać zziębnięte lico // A jutro znów pójdzie tędy // I chodzić tak będzie razy tysiąc"... to na co Pan właściwie liczy?

Z. M. — Wydaje nam się, iż gdy autor ma 16 lat nie powinien pisać wierszy i opowiadań z czasów okupacji hitlerowskiej, gdyż niewiele wie o tym okresie. Pisać zaś tylko ze słyszenia nie opłaca się, gdyż to nie daje rezultatów. Tylko bardzo doświadczony pisarz może pisać o tym, czego nie doznał we własnym życiowym doświadczeniu. Dlatego wiersz „Wspomnienie z przeszłości" nie ma wartości poznawczych i artystycznych.

„HELENA" — Jasło: Wiersze wskazują na dużą wrażliwość, wyobraźnię i kulturę literacką, ale są jeszcze niedojrzałe. Trochę w nich naiwności, brak im precyzji i zwięzłości. Są przegadane i zbyt opisowe. Należy zmierzać do ujęć bardziej syntetycznych, do umiejętnego operowania skrótem myślowym i metaforę. W wierszu „Zwinięty w kłębek" niedobre zakończenie — puste i werbalne.

E. K. NIEGŁOWICE: Niestety, wiersz „Wiatr i liść" nie ma wartości.

W. Z. RZESZÓW: Pański wiersz „Płatki śmierci" składa się z zapytań i okrzyków? Wiersz „Myśle- trzykrotny krzyk „Zatrzymajcie je", nie wystarczy, by wstrzymać wrogie samoloty. Czyżby Pan istotnie nic więcej nie miał do powiedzenia na temat Wietnamu, oprócz naiwnych pytań i okrzyków? Wiersze „Myślenie" mówi o sprawach od myślenia dość odległych. Co np. z myśleniem mają wspólnego takie sformułowania: ...„Ociężałe rdzenie//syntetyzują// rdzą nagich czynów// „lub „jesienne liście//tulące się//do nagich kor"... Nie reflektujemy.

„X. Y." — autor wiersza „Lenin walczy", Traper z Dębicy — Nie skorzystamy.

SNY W OKNIE

(dokończenie ze str. 3)

stali w sklepie, kiwali głowami, wyciągali szyje. Słowa leżały na półkach, nikt ich nie chciał. Przybiegły dzieci z tornistrami na plecach, zaciskały w spoconych dłoniach drobne pieniądze. Przyszli żołnierze w czerwonych beretach, kolejarz z tulipanem w ustach, staruszka z pieskiem. Zapłakała kobieta, która w tłumie zgubiła synka Piotrusia. Ruda dziewczyna wołała — sprzedam oczy mojego chłopca, kupujcie niebieskie oczy. Wieczorem przyszedł poeta, przeskoczył ladę, podeptał towar. Z najwyższej półki zdjął głowę dziewczyny o białych warkoczach, zdmuchnął pył z powiek, włosy owinął na przegubach dłoni, wyszedł, a za nim wszyscy inni gestykulując i krzycząc: „Handlarz Eugeniusz zwariował, patrzcie handlarz Eugeniusz zwariował!"

Uciekłam. Biegłam uliczką zmarłą na milczenie, potykałam się na bruku. Na skrzyżowaniu zatrzymał mnie mężczyzna.

— Czy pani kupi dwa białe warkocze?

ZDARZENIA TYGODNIA

Trudno byłoby nie wyrazić w tym miejscu słów uznania dla władz miejskich Rzeszowa za troskę o rozwój sieci placówek bibliotecznych w naszym mieście. Wiadomo przecież, że nie zbywa na lokalach, a potrzeby stale są duże. Z tym więc większą przyjemnością odnotowujemy fakt otwarcia i przekazania do użytku nowej filii bibliotecznej przy ul. Słowackiego. Placówka ta posiada wypożyczalnie dla dzieci, młodzieży i starszych oraz czytelnię.

* * *

Przebywający w Rzeszowie z okazji otwarcia w Muzeum Okręgowym wystawy rewolucyjnego plakatu radzieckiego lwowscy muzealnicy z Galerii Obrazów bardzo pracowicie spędzili czas. Zwiedzili interesujące ich zabytki Krakowa, Tarnowa, Rzeszowa, Przemyśla oraz krasiczyński zamek. Z przeprowadzonych rozwów z kierownictwem Muzeum Okręgowego wynika, że nawiązane ostatnio kontakty przyniosą obu stronom korzyści w postaci wymiany ekspozycji i współpracy w różnych dziedzinach muzealnictwa.

* * *

Odnotowujemy kolejny program estradowy, przygotowany przez rzeszowskie Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych. Jak wynika z poczynań stara się ono być nie tylko kolporterem zespołów, ale wychodzi również naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu. Potwierdzeniem tego może być wspomniany już program, zatytułowany „Piosenka zostanie z Tobą", przygotowany specjalnie z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej. Na tę imprezę rewiową składają się radzieckie piosenki liryczne, żołnierskie i inne. Zespół zainaugurował występy podczas akademii, zorganizowanej w Prezydium WRN z okazji wielkiej rocznicy Rewolucji, i innych zakładach naszego województwa.

Wykonawcą programu — etatowy zespół „Estrady", stroje i scenografia — Salomea Gawrońska, układy taneczne — Kazimierz Redzisz, kierownictwo artystyczne — Elwira Turska.

* * *

Można by dyskutować nad mnogością ogłaszanych z różnych okazji wszelkiego rodzaju konkursów tak dla dzieci, jak i dorosłych. Oglądając wojewódzką wystawę najlepszych prac konkursowych „Projektujemy znaczek pocztowy z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej" można się jednak przekonać o wartości tego rodzaju przedsięwzięć. Plon konkursu, ogłoszonego przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej jest dość bogaty, a wybrane prace uczniów (ok. 60), świadczą o dobrym smaku uczestników.

* * *

Już sam tytuł imprezy „W uniformie zawsze w formie" świadczy o jej charakterze. I rzeczywiście mowa tu o zespole estradowym Warszawskiego Okręgu Wojskowego „Desant" pod kierownictwem ppłk. Leopolda Kozłowskiego, który od ubiegłej środy prezentuje mieszkańcom naszego województwa program satyryczno-muzyczny.

Wystarczy spojrzeć na afisz, a nazwiska autorów tekstów, jak np. m. in. B. Brzeziński, B. Miecugow i T. Śliwiak, i melodii zachęcają do wzięcia udziału w imprezie. Widzowi prezentuje się orkiestra rozrywkowa, kwartet męski, duet tancerzy i żeńska para wokalna.

* * *

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie kontynuowany jest cykl odczytów pt. „Muzea świata". Trzecia już z kolei prelekcja poświęcona tym razem galerii obrazów Uffizi w Wenecji, wygłoszona przez pracownika naukowego Muzeum Czartoryskich z Krakowa, dr Annę Różycką-Bryzek cieszyła się dużym zainteresowaniem o czym świadczy chociażby frekwencja. Jednym słowem, organizatorom akcji odczytowych doradzamy odpowiedni dobór tematyki, a miejsca nie będą świecić pustkami.

* * *

Przewodnicy PTTK stale podnoszą swoje kwalifikacje, zapoznając się z zabytkami poszczególnych regionów naszego województwa i osiągnięciami współczesności. W tym też celu zorganizowano ostatnio w Baranowie Sandomierskim i Tarnobrzegu II Okręgowy Zlot, w którym wzięło udział około 120 przewodników. Wybór miejsca na spotkanie (Baranów — zamek, Tarnobrzeg — zagłębie siarkowe) był jak najbardziej trafny. W programie imprezy nie zabrakło również punktów dotyczących 50 rocznicy Rewolucji Październikowej (powstanie Republiki Tarnobrzeskiej) i Roku Międzynarodowej Turystyki.